

80-lecie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zagłębiu Dąbrowskim

**BARBARA
MORAWSKA-NOWAK**

7 marca 1931 roku to oficjalna data powstania Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Sosnowcu, na terenie Zagłębia Dąbrowskiego, jakkolwiek osoby z tego terenu były już odnotowane w Pamiętniku TT z 1883 roku! Ponowne zaistnienie PTT w Zagłębiu to rok 1995, kiedy to z inicjatywy Zbigniewa Jaskierni założono Oddział im. gen. Mariusza Zaruskiego w Sosnowcu, działający aktywnie od tego czasu.



Fot. Leszek Wojski

Z okazji 80-lecia PTT Zarząd Oddziału zorganizował uroczyste spotkanie jubileuszowe, które miało miejsce 9 listopada o godz. 17.00 w Muzeum – mieszczącym się w Pałacu Schöna – w Sosnowcu przy ul. Chemicznej 12. Wzięłam udział w tym spotkaniu, podobnie jak 5 lat temu, był także prezes ZG PTT Szymon Baron, który wraz z prezydentem miasta, Kazimierzem Górskim, objął patronat nad tą imprezą.

Spotkanie otworzył wiceprezes Oddziału, Sylwester Dąbrowski, witając przybyłych gości. W imieniu władz miasta wystąpili przewodniczący Rady Miasta Mateusz Rykała i jej wiceprzewodniczący Przemysław Wydra.

Pierwszym punktem programu była prezentacja multimedialna znanego himalaisty Krzysztofa Wielickiego, piątego z kolei zdobywcy Korony Himalajów. W sposób bardzo osobisty i bezpośredni przedstawił swą drogę do tego sukcesu, osiągniętego na przestrzeni 15 lat. Rozpoczynając taternictwo w 1970 roku, już w 1979 wziął udział w wyprawie w Himalaje. 17 lutego 1980 roku miał szczęście wraz z Leszkiem Cichym dokonać pierwszego zimowego wejścia na Mount Everest. Podkreślał etos ówczesnego himalaizmu, gdzie duży zespół pod kierunkiem Andrzeja Zawady był doskonale zgrany, a udział w wyprawie w odbiorze jej uczestników był patriotyczną misją. Potem zdobywał jeden szczyt za drugim, w rozmaitych okolicznościach, nie raz solowo. W 1996 roku pozostał już tylko niezdobyty Nanga Parbat. Wszystkie wy-

prawy już opuściły rejon, Wielicki zdecydował się wejść na szczyt samotnie 1 września, bez wsparcia, przesypiając w namiocie całą dobę, w czasie której przesunął mu się w śnie film całego życia. Na szczęście pogoda dopisała. Ze szczytu zabrał kłamerę z wygrawerowanym podpisem, którą rozpoznał poprzedni zdobywca.

Mówił o złotych latach polskiego himalaizmu w latach 80-tych, kiedy to większość naszych alpinistów prowadziła roboty wysokościowe pozyskując w ten sposób pieniądze na wyprawy. Wspominał swoich najbliższych partnerów, którzy zginęli: Jerzy Kukuczka na Lhotse w 1989, a trzy lata później Wanda Rutkiewicz na Kangczendzongde (*nota bene* jego koleżanka ze studiów we Wrocławiu). Na koniec podkreślił, że po to tylko urodził się we właściwym czasie, aby ten sukces osiągnąć.

Wypełniona po brzegi sala nagrodziła prezentację wielkimi brawami.

Na sali pojawiła się góralska kapela „Hyr” z Zakopanego, grająca i śpiewająca z wielką werwą i zapałem; wydawało się, że nie skończą. Zespół także zebrał ogromne brawa.

Dopiero potem nastąpiły okolicznościowe wykłady: z *dziejów PTT (1973–1950)* Krzysztofa Czesaka i *80 lat pracy PTT w Zagłębiu Dąbrowskim* Zbigniewa Jaskierni.

Teraz głos zabrali obecny prezes Oddziału Paweł Kosmala i prezes ZG PTT Szymon Baron.

Prezes Oddziału PTTK im. Aleksandra Janowskiego i szef tutejszych przewod-

ników odczytali okolicznościowy adres świadczący o dobrych relacjach między PTT i PTTK na terenie Sosnowca.

Robert Marcinkowski z gitarą klasyczną wystąpił z koncertem piosenki turystycznej, teksty były jego pióra.

W międzyczasie (a czas szybko upływał) z Szymonem Baronem w towarzystwie Krzysztofa Czesaka zwiedziliśmy dwie wystawy na piętrze budynku: sprowadzoną z Muzeum Tatrzańskiego wystawę „Tatry i Zakopane w czasach Tytusa Chałubińskiego” (ucieszyło mnie, że Rok Chałubińskiego jeszcze trwa – tym razem w Sosnowcu) i wystawę „80 lat Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zagłębiu Dąbrowskim”. Tu większość kolorowych zdjęć w formacie A4 dotyczyła znanych mi dobrze czasów obecnej działalności PTT po roku 1995. Ten pokaz podbudował jakby moje wystąpienie na niedawnym 30-leciu PTT.

Wreszcie ostatni punkt programu – smaczny poczęstunek po góralsku – chleb ze szmalcem, oscypek i bundz, a na gorąco pieczone prosię z kapustą i kaszą gryczaną. Przyznaję, że byłam już bardzo głodna, więc tym bardziej wszystko mi smakowało.

Koledzy Krzysztof Kubis i Krzysztof Czesak odwiedzili mnie na autobus aż do Katowic o 20:50, którym sprawnie wróciłam do Krakowa (ten pierwszy odebrał mnie także z pociągu w Mysłowicach), za co serdecznie dziękuję.

Reasumując, oceniam imprezę okolicznościową w Sosnowcu za bardzo udaną. ■

Dwa posiedzenia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie

**BARBARA
MORAWSKA-NOWAK**

Stowarzyszenia będące organizacjami społecznymi lub jak się to obecnie określa – pozarządowymi – poddawane są coraz bardziej presji stale zmieniającego się prawa, dążącego do ich kodyfikacji i kontroli. Trudno mówić o ich suwerenności czy niepodległości.

W związku z tym Polskie Towarzystwo Tatrzańskie już po raz drugi w tym roku musiało zwołać Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PTT celem dostosowania Statutu do jednolitego szablonu wymaganego przez władze.

Byliśmy zmuszeni zwołać obecnie w jednym dniu, w niedzielę 23 października br. dwa posiedzenia, które odbyły się w sali wykładowej Wydziału Chemii UJ w Krakowie, przy ul. Ingardena 3.

Posiedzenie Zarządu Głównego PTT rozpoczęło się o godz. 10.00. Komisja Statutowa przedstawiła proponowany zgodnie z ustawą zapis § 52 Statutu PTT, którego propozycja została przez obecnych na posiedzeniu przyjęta i miała być przegłosowana na Nadzwyczajnym Walnym Zjeździe.

Posiedzenie było bardzo dobrze przygotowane przez Prezesa i Sekretarza, większość materiałów rozesłana celem wcześniejszego zapoznania się z nimi. Dzięki temu, można było zrealizować porządek dzienny do godz. 13.30.

Przyjęto uchwałę o podziale środków finansowych, które wpłynęły z odpisów 1% od podatków; były one wyższe niż rok temu i wyniosły 13 366,50 zł. Większością głosów przyjęto następujący ich podział: 7 000,00 zł na działalność Zarządu Głównego PTT (w tym wydawniczą) i 6 366,50 zł dla Oddziałów, które zgłoszą do Zarządu Głównego celowe wnioski.

Zapowiedziano większe zdyscyplinowanie sprawozdawczości oddziałów – finansowej i merytorycznej, bowiem Zarząd będzie musiał przedstawiać władzom sprawozdania z całokształtu działalności całego towarzystwa, a więc i oddziałów. Dla ułatwienia zarządy oddziałów otrzymają ankiety do wypełnienia na ten temat.

Komisja ds. szlaków ZG PTT i Oddział PTT w Tarnowie zorganizowały w dniach 2–4 września 2011 r. w Jamnej szkolenie znakarzy szlaków pieszych i rowerowych, w którym wzięło udział 11 osób. Opracowano już instrukcję dla znakarzy i wzór legitymacji, a na posiedzeniu przegłosowano projekt odznaki znakarza szlaków PTT.

Oddział PTT w Chrzanowie zaprezentował opracowaną przez siebie nową książeczkę GOT PTT (co nie za bardzo spodobało się radomianom), wcześniej opracował regulaminy nowych odznak: Duży i Mały Szlak Beskidzki.



Fot. Jerzy Zieliński

Obserwuję napór w kierunku tworzenia nowych odznak – Maciek Zaremba, z Komisji ds. członków honorowych i odznaczeń zaproponował ustanowienie nowych odznak: „10 lat w PTT” i „20 lat w PTT”, które miałyby wyróżnić osoby za regularne, wieloletnie opłacanie składek. Kto wie, może by to zachęciło członków do płacenia, jak wiemy jest to stałą bolączką niektórych naszych oddziałów.

Ustalono terminarz i wstępnych organizatorów posiedzeń Zarządu Głównego w roku 2012, który podajemy, aby oddziały nie organizowały w tym czasie własnych imprez:

- 28-01-2012 – Bielsko-Biała, organizator: O/Bielsko-Biała;
- 19-05-2012 – Zakopane (posiedzenie połączone z Nadzwyczajnym Walnym Zjazdem i Konferencją Programową lub obchodami Roku Ochrony Przyrody); organizatorzy: O/Łódź i O/Kraków;
- 6-10-2012 – Beskid Sądecki; organizator: O/Nowy Sącz.

Żałuję tylko, że nie mogliśmy odbyć w tym czasie posiedzenia na Mładej Horze, może była to już ostatnia taka okazja...

Po krótkiej przerwie, w tej samej sali, o godz. 14.00 rozpoczął się **Nadzwyczaj-**

ny Zjazd Delegatów PTT z jednym konkretnym punktem porządku dziennego: „Uchwała w sprawie zmian Statutu”. Zjazd był prawomocny, bo mimo obaw zebrał 86 delegatów.

Przedstawiony przez przewodniczącego Komisji Statutowej, Antoniego L. Dawidowicza zapis § 52 Statutu w brzmieniu:

W Polskim Towarzystwie Tatrzańskim zabrania się:

a) udzielania pożyczek lub zabezpieczania zobowiązań majątkiem organizacji w stosunku do jej członków, członków organów lub pracowników oraz osób, z którymi członkowie, członkowie organów oraz pracownicy organizacji pozostają w związku małżeńskim, we wspólnym pożyciu albo w stosunku pokrewieństwa lub powinowactwa w linii prostej, pokrewieństwa lub powinowactwa w linii bocznej do drugiego stopnia albo są związani z tytułu przysposobienia, opieki lub kurateli, zwanych dalej „osobami bliskimi”,

b) przekazywania majątku PTT na rzecz członków PTT, członków organów lub pracowników oraz ich osób bliskich, na zasadach innych niż w stosunku do osób trzecich, w szczególności, jeżeli przekazanie to następuje bezpłatnie lub na preferencyjnych warunkach,

c) wykorzystywania majątku na rzecz członków, członków organów lub pracowników oraz ich osób bliskich na zasadach innych niż w stosunku do osób trzecich, chyba że to wykorzystanie bezpośrednio wynika ze statutowego celu PTT,

d) zakupu towarów lub usług od podmiotów, w których uczestniczą członkowie PTT, członkowie organów lub pracownicy oraz ich osoby bliskie, na zasadach innych niż w stosunku do osób trzecich lub po cenach wyższych niż rynkowe.

– został przyjęty przy jednym głosie wstrzymującym. ■



Fot. Jerzy Zieliński

XXX-lecie za nami...

**BARBARA
MORAWSKA-NOWAK**

Jubileusz XXX-lecia odrodzenia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego mamy już za sobą. Jako wydarzenie należy już do naszej historii, minęło się jak wszystko w życiu...

Osobiście dla mnie to były dni wielu stresów, obaw, czy wszystko się uda, łącznie z takimi sprawami przyziemnymi jak transport wydawnictw tam i spowrotem...

Z perspektywy czasu oceniam, że spotkanie było udane, a Ci, co nas zawiedli, niech żałują...

Najpierw msza św. w pobliskim kościółku św. Marka i wspólna modlitwa, za tych co odeszli... Nasz kapelan nie mógł przybyć, ale znalazło się dwóch innych księży, którzy go zastąpili. Byli to ks. Paweł Cyz, członek naszego najmłodszego oddziału w Tarnowie i dłużej już nam znany, ks. Adam Wąsik, obecnie proboszcz w Maćkowicach, pod ukraińską granicą. Ks. Adam miał bardzo ładną homilię na kanwie: Bóg, góry i my. Lektorem był Krzysztof Kabat, były prezes. Przy ołtarzu poczet sztandarowy z Krzysztofem Karbowskiem. Na koniec podziękowanie Prezesa i zbiorowe zdjęcie na tle ołtarza z Chrystusem na krzyżu.

Z kościoła przeszliśmy (w moim wypadku przebiegliśmy) na ul. Szczepańską, gdzie gromadzili się Ci, którzy przyszli wprost do Klubu pod Gruszką. Trzeba było zaaranżować stoisko z książkami i kartkami okolicznościowymi, które prowadziła Marzenka Prus z O/Kraków. Sala wypełniła się, ale z oficjalnych gości przybył tylko wojewoda małopolski Stanisław Kracik.

Spotkanie otworzył Prezes Szymon Baron. Ponieważ pan wojewoda spieszył się, na początek odbyło się wręczenie przyznanych odznaczeń państwowych niektórym kolegom. Antoni Leon Dawidowicz i Jan Weigel otrzymali krzyże kawalerskie, a Ludwik Rogowski i Krzysztof Karbowski – srebrne krzyże zasługi.

Potem już, za ciosem, wręczono dyplomy zasłużonym dla reaktywowania PTT w latach 1981–1989. Takich dyplomów wypisano 50, z tego tuzin nie odebrano i leży tymczasem u mnie czekając na okazję. Następnie 12 seniorów otrzymało dyplomy stwierdzające ich przynależność do PTT przed 1950 rokiem. Wszyscy wyróżnieni otrzymywali torby z Kroniką Odrodzenia PTT, Księgą Gór i Budowli Macieja Mischke i wyborem pism Jana Gwalberta Pawlikowskiego *Kultura a natura* w środku. Odbiór Kroniki był poświadczyany.

Spotkanie prowadził przewodniczący Komisji Historycznej ZG PTT, Janusz Machulik.



Fot. Jerzy Zieliński

Gdy przeszło zamieszanie związane z wręczaniem dyplomów i podarunków głos zabrał redaktor Stefan Maciejewski, prezes Tymczasowego Zarządu PTT 1981. Jako autor Kroniki Odrodzenia PTT (1981–1989) podzielił się refleksjami na temat tamtych wydarzeń i tamtych czasów. Ukazanie się tego opracowania jest największym osiągnięciem bowiem zebrane zostały dokumenty i opracowana kronika tamtych lat. W Kronice ukazały się także artykuły naświetlające jak doszło do utworzenia PTTK w 1950 roku śp. Tomasza Nowalnickiego, Wiesława A. Wójcika i samego Maciejewskiego, który przedśledził pod tym kątem powojenne „Wierchy”.

Nadszedł moment, by uczcić minutą ciszy, tych co odeszli i nie dożyli tego 30-lecia – jedni już dawno, inni co dopiero, zbierała się pokaźna lista kilkudziesięciu nazwisk.

Wreszcie moje, długie wystąpienie na temat 22 lat legalnej działalności Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego poczynawszy od uzyskanej w końcu rejestracji w grudniu 1988 roku. Nie tak łatwo było o wszystkim pokrótce opowiedzieć, aby ukazać całość kształt naszych poczynąń przez te lata. Siedziałam i odczytywałam zasłonięta kartkami, tak że nawet nie zauważyłam jak na salę weszła ekipa Kroniki Krakowskiej TVP, aby nakręcić migawkę z naszego jubileuszowego spotkania. Pewnie też nie zauważyłam, jak niektórzy być może ziewali... Operatorzy weszli i wyszli, ale cały czas był z nami red. Julian Rachwał, który był także uczestnikiem Sejmiku Obywatelskiego 10 października 1981 roku.

Ogłoszona została przerwa kawowo-obiadowa i to był moim zdaniem najstarszy punkt programu, nie z naszej winy. Ci, którzy zapisali się na obiad i zamówili wybrane przez siebie dania musieli czekać na podanie blisko godzinę. Ci, którzy nie obiadowali opuścili w międzyczasie spotkanie; niektórzy musieli spieszyć się na powrotne pociągi i autobusy, zwłaszcza Ci z najdalsza (Zielona Góra, Poznań).

Obawiałam się, że dalsze spotkanie rozleci się, na szczęście znalazło się grono osób, które zostały i wywiązała się miła pogawędka z redaktorem Maciejewskim na temat działalności Tymczasowego Zarządu do czasu, jak oficjalnie musiał zawieść działalność. Na szczęście nie wszyscy

złożyli broń i najwytrwalsi doprowadzili w końcu do legalnego zaistnienia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w roku 1989.

Emocje opadły, rozpoczął się następny etap. Co nam przyniesie?

Dwa tygodnie później było posiedzenie Zarządu Głównego PTT i Nadzwyczajny Walny Zjazd Delegatów. Wspominając miniony jubileusz mówiono, że teraz należy opracować Kronikę działalności Oddziałów i Delegatur PTT (1981–1989). W tym miejscu apel do wszystkich, którzy dysponują jakimiś archiwaliami z tamtych czasów, aby zabrali się do ich opracowania i przesłania tego na moje ręce.

Ci, którzy zechcieli zostać po zakończeniu Zjazdu mogli obejrzeć 25-minutową prezentację przeglądu fotografii zebranych za te 22 lata działalności PTT, przygotowaną z moich zbiorów przez Szymona Barona i Tomasza Węgrzyna (O/Bielsko-Biala).

Zachęcam wszystkich, którzy jeszcze nie kupili lub nie otrzymali w darze, do nabycia za jedyne 30 zł cennego dokumentu, jakim jest *KRONIKA ORODZENIA PTT (1981–1989)*.

W tym celu wystarczy skontaktować się ze mną (**Barbara Morawska-Nowak, 30-049 Kraków, ul. Konarskiego 21 m 5, e-mail: morawska@ptt.org.pl; tel. 12-634-05-89 lub 517-864-541**).



Fot. Jerzy Zieliński



Fot. Jerzy Zieliński



Fot. Jerzy Zieliński

Rocznice PTT - dokonania, zamierzenia

JÓZEF DURDEN

Mineły trzy długie dekady, od czasu zapoczątkowania przemian w górskim ruchu turystycznym. W dniach 10–11 października 1981 roku w krakowskim Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, spotkali się przedstawiciele ugrupowań związanych z górami, by dyskutować o wypaczeniach w turystyce górskiej i zapobieżeniu ich w przyszłości. Celem Sejmiku, zwołanego przez Obywatelski Komitet Reaktywowania PTT, było omówienie możliwości trwałych zmian i podjęcie stosownych decyzji w sprawie odrodzenia pierwszej na ziemiach polskich, organizacji górskiej. Powstałe w roku 1873, Towarzystwo Tatrzańskie, przemianowane po odzyskaniu niepodległości na Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, w ciągu niemal 77 lat istnienia chlubiło i trwale wpisało się w historię polskiej turystyki górskiej, zwłaszcza tatrzańskiej i rozwoju Zakopanego. W okresie po II wojnie światowej, w wyniku przemian politycznych, „władza ludowa”, usilnie zabiegając o tzw. „kolektywizację”, wpłynęła na zmiany, także w turystyce. Dokonane w grudniu 1950 roku, „dobrowolne” połączenie PTT i PTK, nastąpiło wbrew woli części członków tych Towarzystw. Doprowadzając do likwidacji PTT i PTK, utworzono nową organizację turystyczną, w skrócie nazwy zwaną jako PTTK, całkowicie podporządkowaną narzuconej ideologii o wyraźnym czerwonym zabarwieniu. Długo przemilczano fakt odsunięcia od wpływów doświadczonych działaczy, którzy nie wykazywali gorliwości w popieraniu nowych trendów socjalistycznej ideologii.

Podjęmowane w okresach „odwilży politycznych” próby odrodzenia PTT, z uwagi na krótki okres trwania zmian w duchu demokracji, miały znikome szanse na pomyslnie zakończenie. Realna nadzieja na reaktywowanie PTT, zarysowała się dopiero na fali posierpniowych przemian społecznych i politycznych. Rozmowy zainteresowanych osób ze środowiska krakowskiego, sprawiły zawiązanie się Grupy Inicja-

tywnej Reaktywowania PTT, która przemieniła się w Obywatelski Komitet Reaktywowania PTT. Efektem dalszych poczynąń było zwołanie Krajowego Sejmiku Obywatelskiego w sprawie omówienia celowości reaktywowania PTT. Już pierwszego dnia obrad (10 X 1981), w godzinach wieczornych podjęto uchwałę o reaktywowaniu organizacji pod tradycyjną nazwą. Miło mi wspomnieć dwa osobiste akcenty historycznego spotkania. Przypadł mi zaszczyt wypisania na karcie treści uchwały o reaktywowaniu PTT, którą podpisali wszyscy obecni zwolennicy wcześniej przegłosowanej decyzji. Drugim dostrzegalnym szczegółem na sali obrad, był mój rysunek z nożyczkami, eksponowany jako jedyny element dekoracyjny. W minionym 30-leciu, niejednokrotnie powracano do rysunku i różnie interpretowano jego treść. Korzystając z okazji pragnę wyjaśnić, że zamysł treści rysunku powstał pod wpływem impulsu atmosfery burzliwych dni przemian, zaś główną ideą było uświadomienie, że z graficznego punktu widzenia skrót PTTK był tylko poszerzeniem skrótu PTT i zaistniały warunki by odciąć to, co zbędne w turystyce górskiej. Ponadto wskazanie, iż w przestrzeni gór polskich jest miejsce nie tylko dla wszechwładnego PTTK, a także dla najstarszej polskiej organizacji górskiej, której nazwa w skrócie brzmi PTT. Litera „K” w skrócie nazwy Towarzystwa znanego jako PTTK, miała wyrażać „krajoznamstwo”, choć wiele dokonano w tej dziedzinie, to w minionych latach postrzegano ją jako pierwszą literę słowa „komunizm”, któremu powyższe Towarzystwo służyło czy schlebowało w turystyce, także górskiej oraz krajoznamstwie.

Dni obrad Sejmiku OKR PTT, przysporzyły ufności i nadziei na rzeczywiste zmiany. Wprowadzenie niebawem stanu wojennego, odsunęło w czasie rejestrację PTT, zatem legalną i szerszą działalność. Pozostał upór i optymizm, przydający otuchy na przetrwanie przy jednoczesnym dalszym zabieganiu o legalizację reaktywowanej organizacji. W ośrodkach terenowych w kraju podejmowano różne formy

działalności turystycznej i kulturalnej (wycieczki w góry, spotkania, prelekcje, posiadanie górskie, wystawy). Zwolennicy PTT, działając w klubach miłośników gór, pod znakiem PTT i auspicjami placówek kulturalnych, organizowali m.in. ogólnopolskie spotkania działaczy tej organizacji. Długo oczekiwaną rejestrację naszej organizacji, w końcu 1988 roku, dokonano pod nazwą Towarzystwo Tatrzańskie. Przywrócenie pełnej nazwy z przymiotnikiem „Polskie” nastąpiło niemal rok później, podczas I Zjazdu Delegatów PTT w Zakopanem. Dynamiczną na miarę skromnych możliwości działalność, dostrzegali także przeciwnicy odrodzenia PTT. W literaturze górskiej, zwłaszcza firmowanej przez PTTK, odrodzone PTT, celowo określano (czyni się tak nadal) jako „nowe”. Przymiotniki „nowe” i „reaktywowane”, pomimo pozornej bliskości różniły się, co w przypadku odrodzonego PTT, ma nader istotne znaczenie. W licznych gremiach osób związanych z górami, popierających reaktywowanie PTT, zabiegających o legalizację, deklarujących członkostwo, była ponad pięćdziesięcioosobowa grupa ludzi, posiadających legitymacje i odznaki PTT, wydane do roku 1950. Doprawdy wszyscy sygnatariusze uchwały o reaktywowaniu PTT, dawni członkowie PTT i nowi zwolennicy, byli zainteresowani odrodzeniem pierwszej polskiej organizacji ludzi gór, i obca im była myśl tworzenia nowego Towarzystwa. Trudnego do zrozumienia uchybienia w tej sprawie, nie ustrzegli się państwo Zofia i Witold Paryscy – autorzy Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej, notabene członkowie honorowi PTT, stosując określenie „nowe” PTT (WET wyd. 1995, str. 952).

Przywołując w pamięci znany mi z autopsji czas zmagania o przetrwanie, a następnie 22-letni okres działalności PTT, uważam, że 8 października 2011, w którym spotkali się wytrwali zwolennicy reaktywowania i działacze, był dniem ich chwały i triumfu nad wszelkimi przeciwnościami, jakich przysporzyli nawet ci, którzy mogli wspierać, a choćby tylko nie utrudniać.

Rocznicowe spotkanie w XXX-lecie Sejmiku OKR PTT w krakowskim Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, przebiegło

w uroczystej atmosferze oficjalnych przemówień, wręczaniu odznaczeń i dyplomów oraz prezentacji wydanej na tą okazję *Kroniki Odrodzenia PTT 1981–1989*. Bogata treść została oparta na dokumentach z tych lat. Zapewne pośpiech w przygotowaniu i druku, sprawił konieczność załączenia erraty. Zamieszczono zebrane przypadkowo ilustracje, tak, że mam wątpliwości czy opracowanie graficzne zostało dopracowane. Drobnostką, zda się być pominięcie mojego imienia, jako wykonawcy fotografii zamieszczonej na stronie 109. Trudno zachować mi obojętność wobec rażącego potknięcia, jakim było zamieszczenie mojego imienia i nazwiska pod rysunkiem Stanisława Witkiewicza (str. 120).

Minęła 30-ta rocznica reaktywowania PTT, organizacji, która zgodnie z zapisem w statucie § 2, jest sukcesorem i kontynuatorem tradycji TT-PTT.

Zanim nastanie czas 140 rocznicy doniosłego wydarzenia w historii Towarzystwa, minie kilkanaście miesięcy. Termin rocznicy, tylko pozornie wydaje się być odległym. Właściwa kolejność rzeczy, nakazuje staranne przygotowanie programu, by nie zawierał on tylko oficjalnych przemówień, wręczenia odznaczeń i dyplomów. Myślę, że celowym będzie przygotowanie imprez dostępnych dla szerszego ogółu ludzi gór, przybywających w Tatry i do Zakopanego.

Pomysły utworzenia organizacji górskiej powstawały przynajmniej trzykrotnie w II połowie XIX wieku. Dopiero inicjatywa wysunięta 3 sierpnia 1873 roku przez Feliksa Pławickiego, podczas przyjęcia wydanego przez Ludwika Eichborna, właściciela dóbr zakopiańskich, w jego pawilonie myśliwskim na terenie zwierzyńca okazała się realnym faktem. Obecnie w tym miejscu znajduje się Ośrodek Muzealno-Edukacyjny Tatrzańskiego Parku Narodowego. Poshanowanie tradycji nakazuje, by właśnie

tam miały miejsce imprezy, pokazy, wystawy, zależne od pomysłów i możliwości finansowych Zarządu Głównego i Komisji Historycznej PTT. Pozwalam sobie wysunąć propozycje do rocznicowego programu – przygotowanie i umieszczenie tablicy upamiętniającej wydarzenie, które dało początek TT-PTT. Uroczyste odsłonięcie tablicy powinno być pierwszym punktem programu obchodów 140 rocznicy utworzenia Towarzystwa Tatrzańskiego. Zrealizowanie powyższego zamiaru wymaga uzyskania zgody, a także wsparcie Urzędu Miasta Zakopane oraz Tatrzańskiego Parku Narodowego. Obie instytucje mają oczywiste powody okazania wdzięczności wobec Towarzystwa Tatrzańskiego. Nie miejsce tu by przedstawić długą listę poczynąń organizacji na rzecz Tatr i miejscowości pod Giewontem.

W początkowym okresie działalności Towarzystwo było faktycznym gospodarzem Zakopanego, zaś pomysł utworzenia z Tatr parku narodowego, wysunął już w roku 1888 ksiądz Bogusław Królikowski, taternik z kręgu członków Towarzystwa Tatrzańskiego.

W kolejnych latach Wydział Towarzystwa nabywał parcele w Tatrach, kierując się myślą utworzenia parku narodowego. Właściwym miejscem dla metalowej tablicy ze stosownym tekstem, znakami TT i PTT i motywem tatrzańskim, umocowanej na tatrzańskim głazie, będzie teren przed wejściem do Ośrodka TPN przy ul. Chałubińskiego. Gdyby obiektywne trudności uniemożliwiły wykonanie trwałej tablicy metalowej, proponuję przygotowanie tymczasowej tablicy z drewna i umieszczenie jej na drzewcu zwieńczonym daszkiem w stylu zakopiańskim. Tradycja zobowiązuje nas wszystkich do przemyśleń i działań, zanim inni wyprzedzą PTT w realizacji konkurencyjnych zamierzeń. ■



Jubileuszowe Święto Drzewa

TOMASZ KWIATKOWSKI

10 października w Warszawie odbyła się jubileuszowe, dziesiąte Święto Drzewa. Jest to akcja Klubu Gaja promująca zalesianie, sadzenie drzew w miastach, a w szerszym wymiarze edukację ekologiczną społeczeństwa. Klub Gaja, ze swym „pozytywnie zakręconym” prezesem, Jackiem Bożkiem, od lat wskazuje ludziom pozytywne idee o charakterze proekologicznym, które pozwalają ludziom łączyć się wokół wspólnego celu. Takie akcje, to np. „Zbieraj makulaturę, ratuj konie”, gdzie placówki edukacyjne pieniądze, uzyskane ze sprzedaży surowców wtórnych, przekazują na pomoc cierpiącym koniom, „Zaadoptuj rzekę” czy właśnie „Święto Drzewa”.

Tegoroczna edycja Święta Drzewa była nam szczególnie bliska, gdyż – m.in. dzięki wytrwałości i zaangażowaniu prezesa Oddziału Dęblińskiego PTT, Krzysztofa Karbowskiego – Drzewem Roku 2011 został Dąb Grot z Dębli. Mogliśmy więc zobaczyć sadzącego drzewo Krzysztofa z łopatą w dłoni, co ze szczerą przyjemnością uwieczniłem. ■

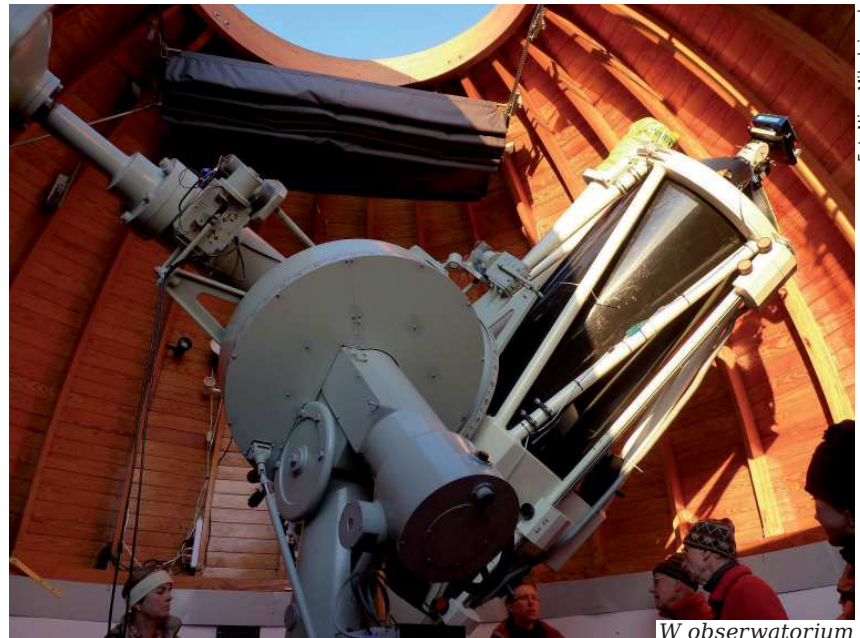
*Na zdjęciu z łopatami:
Alicja Kapuścińska – wdowa po
Ryszardzie Kapuścińskim,
Krzysztof Karbowski,
minister Jacek Michałowski – Szef
Kancelarii Prezydenta RP
i minister Janusz Zaleski – Główny
Konserwator Przyrody*



Fot. Tomasz Kwiatkowski

*...Nojpierw Pon Bóg stworzył Gorce. Siod se potem na Cole Trubaca... patrzy se na wschód – pustać... wzion sie wartko do roboty i wysła mu Radziejowo... Patrzy zaś na południe – pustać... a zachciało mu sie wte cegosi inkszego, takiego nieduzego a piykne-go... i wyrzeźbił se Pon Bóg Pieniny... Ale ze nie zajeny one całego południa... to wyzda-jał se Tatry. Potem na zachodzie zrobił se Babiom Góre, co jest takom wiecie górskom inksom inkskościom, i widzi, ze towaru zacy-no chybiać, a jesse cało północno strona pró-zno ostoła... Zafrasował sie kółwicek... Umy-śłoł se tak: brał do gorzci troche ty górskiej gliny kamienistej i ...prask, prask, to haw, to hań, po cały północy, i tak mocie Beskid Wy-spowy. Siod se Pon Bóg na Cole Trubaca, po-ziera dokoła i to poziranie go strasnie cie-sy. Myśli se „E, mocny kany jakoz by to bylo, kieby tego co teraz tu widać, nie bylo”... i tak jest do dziś. **Temu Gorce som najwoźnijse**, a to co dookola widoć, to hań Tatry, Pieniny, Babió Góro, Wyspowy i Radziejowo, **to ino ich, tych naszijch Gorców otulina, co by sie nom fajnie pozieralo** (fragmenty *Gadki o ważności Gorców* Andrzeja Gruszczyka, zamieszczonej w książce *Gorce z okna „Orkanówki”*).*

Z okazji 30-lecia utworzenia Gorceńskiego Parku Narodowego i ogłoszenia przez ZG PTT roku 2011 rokiem Gorców umieściłam w kalendarzu wyjazdów Oddziału Łódzkiego wycieczkę w Gorce na listopadowy długi weekend. Termin wyjazdu zbiegł się z pozytywną odpowiedzią Dyrekcji GPN na ofertę współpracy zaproponowaną przez ZG PTT. Jako Przewodniczącą Komisji Ochrony Przyrody i Zabytków ZG PTT, skontaktowałam się z GPN w spra-



W obserwatorium

wie możliwości spotkania w ich siedzibie i zapoznania naszych członków z zagadnieniami ochrony przyrody i innymi zadaniami parku. Niestety w przeddzień wyjazdu termin spotkania został przełożony na później, zamówiłam więc standardową płatną prelekcję jak dla każdej wycieczki. W dniu 10 listopada rano wyruszyliśmy z Łodzi czterema samochodami (17 osób), umawiając się na spotkanie przed siedzibą GPN w Porębie Wielkiej, leżącej u stóp północnej strony Gorców. Ponieważ niektóre załogi dotarły wcześniej przed umówioną prelekcją w Parku, wdrapaliśmy się na sąsiadującą Chabówkę (735 m n.p.m.). Po nasyceniu oczu pierwszymi widokami Gorców i Lubonia Wielkiego z Wyspowego udaliśmy się na prelekcję o przyrodzie GPN i sposobach jej ochrony. Przywitał nas Pan Dyrektor Janusz Tomasiewicz, który życzył nam udanego pobytu i wielu górskich wrażeń. Ze mną omówił rów-

nież aspekty przyszłego spotkania z Prezesem i przedstawicielami ZG. Po prelekcji wywiązała się dyskusja na temat sposobów ochrony przyrody i różnych aspektów gospodarki leśnej. Dowiedzieliśmy się np, że sposobem ochrony drobnych gatunków zwierząt jest stwarzanie im przyjaznego środowiska, jak tworzenie zbiorników wodnych, a nawet poprzez pozostawianie spróchniałych, powalonych drzew. Po tym spotkaniu przenieśliśmy się do bardzo górnych Koninek (wąskie serpentynki między gęsto zabudowanymi chałupami), skąd w dół zeszliśmy do Orkanówki, willi wybudowanej przez Władysława Orkana w roku 1903–1905, obok starej chałupy, w której się urodził w roku 1875 jako Franek Smaciarz. Tu już czekała na nas Pani kustosz Jadwiga Zapała, która oprowadziła nas po kolejnych pomieszczeniach muzeum, bardzo ciekawie opowiadając o życiu Orkana, jego matce, córce Zosi, siostrze Marii, bracie Stanisławie i innych członkach rodziny oraz przyjaciółach (to temat na oddzielne opowiadanie). Wyszliśmy stamtąd z zapadającym zmrokiem i dopiero teraz udaliśmy się do naszej kwatery w Koninkach „dolnych”.

Następnego dnia wczesnym rankiem rozpoczęliśmy pierwszą z zaplanowanych przeze mnie trzech pętelek czyli wycieczkę na Turbacz (1314 m n.p.m.), zielonym grzbietowym i bardzo widokowym szlakiem przez Turbaczyk (1078 m), Wierch Spalone (1091 m), Kopieniec (1084 m) i Czoło Turbacza (1258 m). Nie chcąc wspinać się asfaltem do bardzo górnych Koninek ruszyliśmy na przełaj w górę do szlaku rowerowego. Niestety za wcześnie z niego skręciliśmy na ścieżkę edukacyjną i zamiast od razu iść grzbietem, musieliśmy pokonać kilka znacznych wzniesień i obniżień, żeby dotrzeć wreszcie do zielonego szlaku tuż przed Turbaczykiem. Mimo przyświecającego cały czas słońca zaczął



Przed schroniskiem na Turbaczu

nam prószyć śnieżek, ale na Turbaczyku już go nie było, za to pięknie ośnieżone świerki. Grupa nam się trochę rozciągnęła, a ponieważ pojechało z nami dwóch dziesięciolatków, to trochę nam zeszło z pokonaniem kolejnych wzniesień na trasie. Jakoś jednak dotarliśmy do schroniska, spod którego znów otwierał się widok na Tatry. Ponieważ dzieci nie dałyby rady pokonać całej trasy, zostały z rodzicami jednego z nich, aby wrócić w dół niebieskim szlakiem. Reszta grupy udała się czerwonym szlakiem przez szczyt Turbacza w stronę Obidowca (1106 m), na którym skręciliśmy na inny zielony szlak wiodący na Suchorę (1000 m), gdzie mieliśmy zwiedzić położone najwyżej w Polsce Obserwatorium Astronomiczne. Dotarliśmy tam również w podgrupach, ale ogólnie ciekawa prelekcja o obserwacji gwiazd zmiennych się udała. Pani prelegent szczegółowo objaśniała działanie poszczególnych przyrządów. W dalszej drodze dotarliśmy do Tobałowa, gdzie jako atrakcję po ciężkim dniu zafundowaliśmy sobie zjazd wyciągiem do Koninek. Krzesiłka były chyba z epoki wczesnego Gomułki, ale działały. Wieczorem Piotrek rozochocony prelekcją w obserwatorium wyciągał chętnych na poszukiwanie gwiazd i planet na wieczornym rozgwieżdżonym niebie. Odbyło się również uroczyste wręczenie dyplomów za zdobycie Turbacza naszym młodym adeptom górskich wędrówek, Julce i Marcinowi.

Kolejna pętela zaplanowana była na Kudłoń (1276 m), czwarty co do wysokości w Gorcach). Najpierw zrobiliśmy wahadło Lubomierz – Rzeki, by z miejscowości Rzeki wyruszyć żółtym szlakiem przez Jaworzynkę (1026 m), Podskąły (1020 m) i Gorce Troszacki (1235 m) na Kudłoń. Pogoda była tak słoneczna, że można było iść w podkoszulku. Już na pierwszym wzniesieniu mieliśmy doskonałe widoki na pobliską Mogielicę, a z Jaworzynki oprócz niej widzieliśmy jeszcze Ćwilin i Śnieżnicę, a w dole Lubomierz. Na Polanie Podskąły (1020 m) napotkaliśmy trzy szałas i widoki na Jej Wysockość Babią i Police, Kudłoń, Obidowiec i Lubogoszcz, a i na nasze poprzedniego dnia zdobyte: Kopieniec, Spalone i Turbaczyk. Z Gorca Troszackiego ukazała się nam cała tatrzańska panorama. Zdjęciom nie było końca. Kiedy wreszcie trafiliśmy na Kudłoń, okazało się, że jest tak zarośnięty, że ledwie widać szczytowy krzyż, a ciemno, że zdjęcia nie dało się porządnie zrobić. Piotrek stwierdził, że jest tak wcześniej, że szkoda schodzić, więc cofnęliśmy się na zielony szlak i doszliśmy do Polany Pustak (1235 m), gdzie większa część grupy została delektując się widokiem Tatr, a reszta pognęła dalej w stronę Przełęczy Borek. Po umówionej jednej godzinie zaczęliśmy się zbierać do odwrotu, licząc na to że pędziwiatry nas dogonią. Przeszliśmy jeszcze raz przez szczyt i kierując się teraz czar-

nym szlakiem w dół, dotarliśmy do atrakcji Kudłonia, czyli Kudłńskiego Bacy. Jest to piękny ostaniec skalny, nietypowy jak dla gorczańskiego krajobrazu. Po sesji zdjęciowej, nie doczekawszy się reszty grupy, ruszyliśmy w dalszą wędrówkę w dół. Trasa wiodła leśnymi ścieżkami i drogami, mijaliśmy nawet Królewską Górę. Zbliżając się do Lubomierza musieliśmy jeszcze przebyć ogromną łąkę, przeprawić się przez Mszankę, aby dotrzeć do centrum. Naszych niezdyscyplinowanych dalej nie było widać. Tak to jest, gdy się nie trzyma rozsądnie zaplanowanej trasy, musiałam na nich czekać półtorej godziny.

(Nasze dzieci z Magdą oraz Hanią i Leszkiem w tym dniu udały się na wycieczkę na Tobałów, Hania z Leszkiem nawet dalej na Stare Wierchy). Wieczorem znów odbyła się lekcja astronomii oraz ostatnie małe spotkanie towarzyskie.

Ostatnia pętela wykonaliśmy (co prawda już w nie pełnym składzie) w dzień wyjazdu w niedzielę. Spakowawszy bagaże podjechaliśmy do Poręby Górnej, skąd zielonym szlakiem wyruszyliśmy na Maciejową. Wymyśliłam sposób na rozru-

szenie dzieciaków, proponując im zabawę w ciągle wyprzedzające się samochody, i tak „honda” ciągle wyprzedzała „beemwicę” i na odwrót, ale sprawnie szło do przodu. Nie wiadomo kiedy i już byliśmy przy schronisku. I tu znów cała gama widoków na Tatry, Babią i cały górski widok. Drobną posilkę w schronisku, następne dyplomy dla młodych i ruszyliśmy w drogę na Stare Wierchy. Wędrując za psem przewodnikiem z Maciejowej, czerwonym teraz szlakiem grzbietowym, pokonując wzniesienie Jaworzyny (995 m) i przełęcz Pośrednie (918 m), niezadługo dotarliśmy do schroniska. A przy nim gwarno jak na majówce, grillowanie, w piłkę granie. Po kawałach i innych specjałach zbieraliśmy się już do drogi, kiedy zauważyłam znajome postacie łodzian. To koleżństwo naszego Jacka, a okazało się, że i sam Jacek z Ajką tu gości. Po krótkim przywitaniu, zaraz było pożegnanie, jako że my na północną stronę. Pęteli dopełniliśmy żółtym szlakiem w dół do Poręby. Pierwsza na dole była Julka „honda”, której nawet Piotrek, ani spotkane na zboczu ryczące i kurzące motocykle nie zdołały przegonić. ■

Co słychać? 11 (251) 2011

miesięcznik krajoznawczo turystyczny

poznaj swój kraj

01-785 Warszawa, ul. Broniewskiego 8a, tel. 0-22 663-87-52, e-mail: psk@amos.waw.pl

Ukazuje się od 1958r. Promuje walory krajoznawczo-turystyczne Polski Popularyzuje turystykę kwalifikowaną Prowadzi: * Klub Zdobywców Korony Gór Polski * Klub Znawców Polskich Pomników Historii Organizuje z PTTK Ogólnopolski Konkurs Młodzieżowy „Poznajemy Ojcowiznę” Ogłasza konkursy krajoznawcze i fotograficzne Wspiera działania Stowarzyszenia „Poznaj Swoj Kraj” ODZNACZONY m.in.: - Medalem Komisji Edukacji Narodowej - Medalem 50-lecia PTTK LAUREAT - dwukrotnie – Ogólnopolskiego Konkursu Mediów im. M. Orłowicza	L.dz. 2435/11 28 października 2011 r. Zespół Redakcyjny Informatora PTT „Co Słychać?” ul. Konarskiego 21/5 Kraków Z okazji wydania 250. numeru Informatora „Co Słychać?” przesyłam Państwu gratulacje i serdeczne życzenia pomyślności przy tworzeniu kolejnych 250. wydań. Jako dziennikarz doskonale wiem, jak wielką rolę odgrywa Państwa czasopismo w życiu organizacji. Wiem też jaki ogrom zaangażowania i społecznej pracy ponoszą Państwo w imię szlachetnej idei jednoczenia członków organizacji – miłośników polskich gór. Pełen uznania dla Państwa dzieła łączę serdeczne pozdrowienia - REDAKTOR NACZELNY Janusz Szopa	ODZWIĘTUJĄCY Medalem Komisji Edukacji Narodowej Medalem 50-lecia PTTK
--	--	--

OFICyna WYDAWNICZA AMOS WARSZAWA

Sninsky Kamen i Andy Warhol

JÓZEF HADUCH

Wyhorlat to pasmo górskie we wschodniej Słowacji na zachodnim Zakarpaciu należące do łańcucha Wyhorlacko-Gutyńskiego w Wewnętrznych Karpatach Wschodnich. Wyhorlat zbudowany jest ze skał wulkanicznych, andezytów i tufów. Wyhorlat w całości leży w zlewni rzeki Laborec. Interesującym i chyba najbardziej turystycznie dostępnym szczytem Wyhorlatu jest Sninsky Kamen 1005 m n.p.m. Osobliwością Wyhorlatu jest otoczone górami porośniętymi liściastym lasem Velke Vihorlatske Jazero nazywane Morskim Okiem. Aby się wspiąć na wielką andezytową skałę nad Sniną, zobaczyć Morskie Oko i jeszcze wstąpić do muzeum Andy Warhola w Medzilaborcach mając do dyspozycji jeden dzień, najlepiej pojechać do Zemplinskich Hamre. Stąd szczyt Sninskogo Kamena osiąga się najszybciej, najlepiej znakowanym niebieskim lub żółtym szlakiem. Wybraliśmy kolor żółty, trasa szlaku początkowo poprowadzona jest łagodnymi wzniesieniami prawie w całości w gęstym liściastym lesie. Oznakowanie szlaku nie zawsze jest dobre, znaki się gubią i kluczą i tylko turystyczne doświadczenie w górskich wędrówkach pozwala kontynuować nasz marsz do góry. Po niespełna 1,5 godziny znaleźliśmy się na przełęczy Tri Tably. Słoneczna pogoda po całonocnej ulewie sprzyja wędrówce. Z przełęczy na szczyt już tylko 15-20 minut swobodnego marszu. Wejście na wielką skałę, płaską na wierzchołku pokonujemy po metalowych pionowych drabinkach i nie wprawionym w takiej wspinaczce dostarcza lekkich emocji. Ze szczytu rozlega

się piękna górską panoramą, chyba jedna z najciekawszych w tym rejonie Słowacji. Widoczne są nawet polskie Bieszczady, miasto Snina i mnóstwo górskich szczytów bliższych i dalszych. Widać też doskonale położone na południe od Sninskogo Kamena, Morskie Oko. Jego linia brzegowa jest sztucznie podniesiona o 8 m dzięki wybudowanej zaporze. Li-



Na andezytovej skale

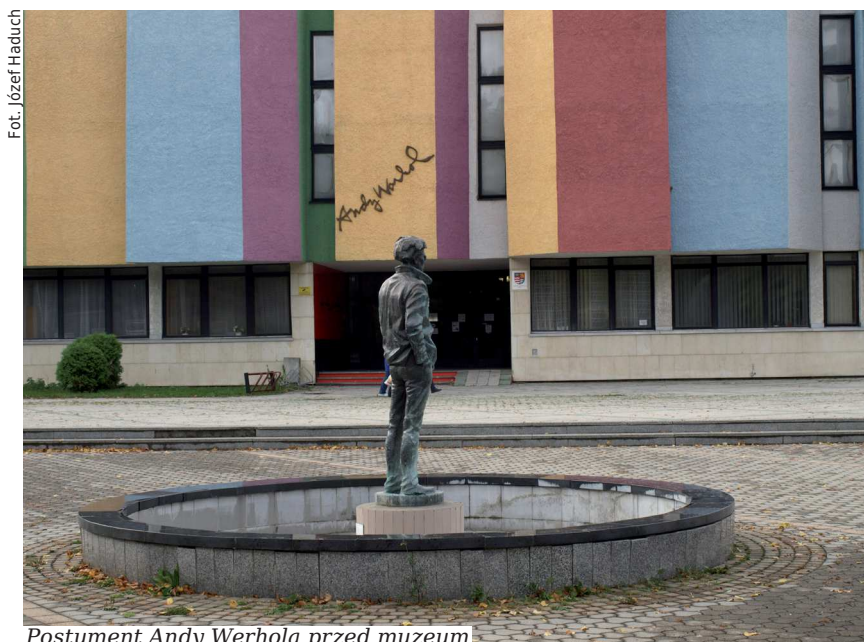
Fot. Józef Haduch

ściaste lasy porastające otaczające góry tworzą o tej porze niepowtarzalną scenę w żółtobrazowych kolorach. Nasyćszy oczy kolorowymi widokami zbieramy się do schodzenia, na początku tyłem ze skały, po metalowych drabinkach a następnie ścieżką znakowaną zielonym szlakiem do miejsca rozpoczęcia wędrówki. Szybkie i dynamiczne zejście ze szczytu Sninskogo Kamena daje nadzieję na

Campbella i postument artysty z wyprostowaną poziomo ręką, dawniej z parasolką w dłoni. Na frontowej ścianie kolorowo pomalowanej widnieje autograf Andy'ego.

Niestety nie udało się zwiedzić muzeum. Biała kartka przyklepiona do szklanych drzwi informowała w języku słowackimi i angielskim że muzeum z przyczyn technicznych jest nieczynne do 11 października 2011. Korzystając z okazji, zrobiliśmy zakupy słowackich specyfików spożywczych w pobliskim Tesko. Opuszczając senne Medzilaborce, odprowadzani wzrokiem snujących się ulicami cyganów skierowaliśmy się dobrą asfaltową szosą w kierunku granicy z polską. Przez przełęcz Laborecką (Beskid), Radoszyce, Komańczę i Zagórz dojechaliśmy do Sanoka. Droga do przełęczy poprowadzona jest doliną potoku Vydranka gdzie także przebiega do Polski linia kolejowa, wybudowana w 1872 roku, przez historyczny ponad stuletni tunel w Łupkowie.

Sninsky Kamen, Morskie Oko i Andy Warhol to największe turystyczne atrakcje okolic w regionie Zemplin, ale nie jedynie. Są jeszcze urocze drewniane cerkiewki porozrzucane w miejscowościach na zachód od Medzilaborce i w okolicach Sniny. I właśnie to one mogą być zachętą do powrotu w ten rejon Słowacji. ■



Postument Andy Werhola przed muzeum

Fot. Józef Haduch

Zakazany owoc - Monako

MARCIN KOLONKO

Po wspaniałym locie do Tuluzy, uwięzionym lądowaniem już po zmierzchu, udałem się na staż w tutejszym ośrodku meteorologicznym. Pracowałem tam wytrwale przez 2 tygodnie, ale mając w perspektywie kolejny weekend spędzony samotnie w akademiku wołałem zafundować sobie podróż koleją do Monako – jedyne 600 km w 1 stronę. Łącznie w obie strony po 1 lub 2 przesiadki.

Decyzję podjąłem w momencie, w którym zorientowałem się ze sensowne połączenie mam za godzinę – pozostało szybko zarezerwować bilet, spakować się i udać (autobusem a potem metrem) na stację kolejową (tutaj nazwaną „Gare SNCF”) w Tuluzie, wykupić bilet i usadowić się w pociągu. Tak znalazłem się „w drodze”.

Po wyruszeniu pociągu (zauważyłem, że znakomite francuskie koleje funkcjonowały tego dnia z 20-minutowym opóźnieniem) krajobraz z miejskiego przekształcił się w rolniczy. Kraina, z której wyruszałem, nazywa się Langwedocją (od francuskiego Langue d’Oc, czyli „tam, gdzie mówią po okcytańsku”) i jest pełna pól i nielicznych miejscowości o zwartej zabudowie.

Następnie mijałem „Midi-Pyrenees”, czyli przedgórza Pirenejów, i dotarłem do wybrzeża Morza Śródziemnego. Na północ od torów przesuwali się niewysokie wzniesienia południowych rubieży Masywu Centralnego, a na południe widniały zarośla i morze. Dalej pociąg osiągnął Marsylię, a następnie – ze zmienionym kierunkiem jazdy (jak ma to miejsce np. w Krakowie Płaszowie, Suchej Beskidzkiej czy Chabówce) – podążał coraz bardziej malowniczymi zboczami „gór wpadających do morza”, czyli Alp.

Od pewnego momentu pociągi regionalne nosiły już napisy „Provence Cote d’Azur” – czyli kraina Lazurowego Wybrzeża. Dojechałem do Cannes, potem przez Antibes i wreszcie wysiadłem na końcowej stacji biegu tego pociągu – Nice Ville, czyli „Nicea Miasto”. Pociąg na który miałem bilet już odjechał, ale zauważyłem że nikt się tym nie przejął gdyż za 20 minut jechał następny. Tym sposobem, po 7 i pół godziny jazdy, znalazłem się w „rajowym” Monaco-Monte Carlo.

Monaco jest drugim najmniejszym państwem świata (po Watykanie), od 1863 roku znajduje się w unii celnej z Francją, a najwyższe wzniesienie stanowi zbocze góry (na wysokości 163 m n.p.m.), którym wiedzie chodnik „Chemin des Revoires” – można po nim wyjść na szczyt Hauts de Monaco w pobliżu miejscowości La Turbie. Długość granic Monako z Francją to „całe” 4.4 km (Wikipedia).

Na uwagę zasługuje także dworzec kolejowy w Monako – jest w całości schowany pod ziemią, tunel w którym mieszczą się perony ma długość 466 m, a szerokość ponad 20 m (za Wikipedia). Można się do niego dostać 3 różnymi wejściami przy pomocy systemu schodów ruchomych i wind. Takie usytuowanie to konieczność i ekonomia – działki są zbyt drogie, a teren zbyt pofalowany aby w tym miejscu możliwe było poprowadzenie kolei naziemnej.

Przed przybyciem do Monako założyłem, że spędzę tam dwie noce. Nieopodal stacji znalazłem ustronny hotel z widokiem na zatokę oraz wzgórze, na które następnego dnia chciałem się wdrapać. W sobotę po śniadaniu rzeczywiście ruszyłem z myślą „byle w górę”. Przeszedłem, niemal nie zauważając, granicę między Monako a Francją i znalazłem się na szlaku, czyli właśnie „chemin”.

Wiół on wąską ścieżką, która lawirowała między kolejnymi posiadłościami, do których nie było wstępu. W pewnym momencie postanowiłem iść drogą, mając nadzieję, że gdzieś ugaszę pragnienie – klimat Monte Carlo jest łagodny, ale średnia temperatura dla września wynosi 20.50°C, więc jeszcze całkiem sporo.

Po 2 godzinach kluczenia trafiłem w końcu do położonej na wysokości 480 m n.p.m. miejscowości La Turbie i obejrzałem ruiny z czasów rzymskich oraz zwarty kompleks budynków z wąskimi chodnikami. Ucieszyłem się, widząc niedrogi sklep sieci „Casino” – wypilem ponad litr napoju izotonicznego z chłodni, zanim poczułem się dostatecznie „nawodniony”.

Rozejrzałem się po miejscowości. Mimo istniejącej komunikacji autobusowej z Monako zdecydowałem zejść z powrotem pieszo. W dół, przy znajomości trasy szedłem 50 minut do Monako i dalsze 10 minut do hotelu. Miejsce podane mi przez kolegę jako kulminacja Monako okazało

się ścieżką przechodzącą w pobliżu szosy granicznej na terenie Francji. Jak to bywa, nikt się poza nami (i może lokalnym geodetą) nie przejmował się zbytnio, gdzie jest dokładnie położone. Za dowód „postawienia tam stopy” niech służy zdjęcie tabliczki. Był to najniższy punkt chodnika Les Revoires (wiodącego już przez Francję).

Ciekawe, że pod tą nazwą figuruje w internecie także nieruchomości do sprzedania – 9 arów i 160 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej za jedyne... 2.3 mln euro. Cena iście książęca... O wartość czynszu za wynajem kasyna Monte Carlo wołałem nie pytać, ale marki samochodów (Ferrari, Porsche, Rolls-Royce, Bugatti) sugerowały zamożną klientelę.

Po powrocie z wycieczki postanowiłem zrobić spacer wzdłuż wybrzeża. Zszedłem (właściwie zjechałem schodami) do zatoki, obejrzałem wystawę jachtów i port. Zjadłem obiad, popijając wcale smaczna kawa (włoska miejscowość Ventimiglia oddalona była o kilka km), przespacerowałem się po lokalnej alejce gwiazd (głównie futbolistów). Popłatawszy się po uliczkach w pobliżu kasyna odnalazłem trzecie wejście na stację kolejową.

Po drodze wstąpiłem jeszcze do kościoła, gdzie akurat odbywała się ceremonia ślubna. Wieczorem napawałem się jeszcze widokiem Monako z tarasu hotelu. Na drugi dzień po śniadaniu wyruszyłem na stację kolejową, z której odbyłem drogę powrotną trzema różnymi rodzajami pociągów – lokalnym TER-em, szybkim TGV i wreszcie z Marsylii – krajowym TEOZ-em.

Tuluza powitała mnie tłumami pasażerów wysiadających i wsiadających do opuszczonego właśnie pociągu (jego stacją docelową było Bordeaux), tłokiem w metrze i senną atmosferą akademików Meteo France. Przed pożegnaniem z „różowym miastem” czekał mnie jeszcze tydzień wyłożonej pracy na rzecz konsorcjum ALADIN.



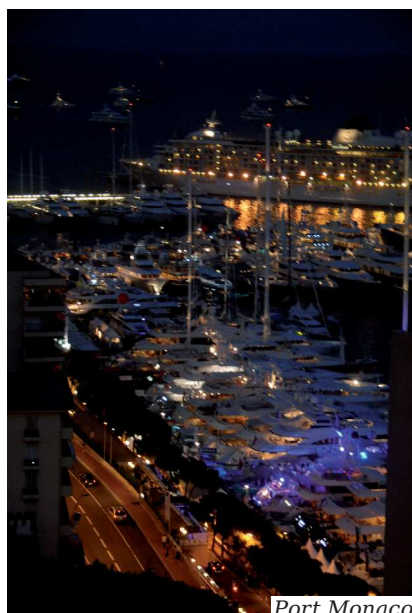
Fot. Marcin Kolonko

Nice Ville



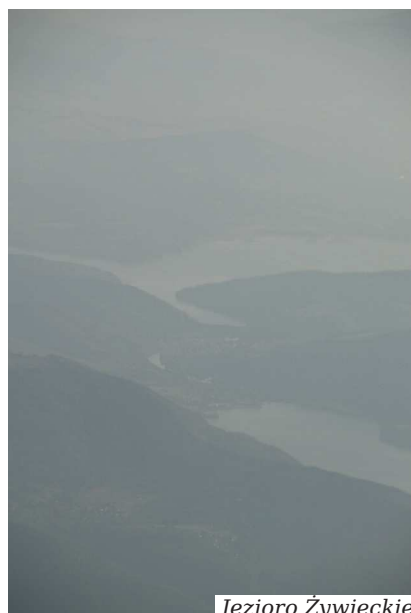
Chemin Revoires

Fot. Marcin Kolonko



Port Monaco

Fot. Marcin Kolonko



Jezioro Żywieckie

Fot. Marcin Kolonko

Odpowiedź: *Historia to świadek czasów, światło prawdy, żywa pamięć, mistrzyni życia, zwiastunka przyszłości*

JANUSZ MACHULIK

*Co to znaczy, kiedy ludzie mówią,
że prawda idzie przez świat?
To znaczy, że zewsząd ją wyrzucają
i że musi wędrować dalej.*

*O biada, świat jest pełen ogromnych
świateł i tajemnic, a człowiek
zastania się przed nimi swoją małą dłońią.*

Izrael ben Eliezer (Bal-Szem-Tow)

Sentencję Tytusa Liwiusza przytoczyłem w tytule mej odpowiedzi na artykuł Koleżanki Ireny Jędrzyk-Misztal: *Polemicznie o swojszczyźnie*, zamieszczony w październikowym numerze „Co słyszeć?”, bowiem dobrze odzwierciedla charakter sporu o swojszczyznę. Spór o swojszczyznę nie jest sporem „sztucznym”, jak sądzą niektórzy. Jest to spór o imponderabilia, czyli rzeczy nieuchwytnie, nie dające się dokładnie zmierzyć *mędrca szkiełkiem i okiem*, a jednak mające istotne i ważne znaczenie.

Polemika z moimi artykułami, prowadzona niby w przyjacielskim tonie, zawiera jednak manipulację mojej wypowiedzi, insynuację oraz brak w niej racjonalnego myślenia. W moim artykule nigdzie nie napisałem tego, co stwierdza Autorka polemiki, a mianowicie (cytuję): *statut pozbawiony swojszczyzny staje się „ułomny, ziele z niego pustka”*. Odnosiłem się w moim tekście wy-

rażnie tylko do zapisu punktu piątego w paragrafie siódmym statutu, w którym na VIII Walnym Zjeździe Delegatów PTT zdecydowano o wykreśleniu centralnego słowa „swojszczyźnie”. Nie charakteryzowałem w swoich tekstach pojęcia *regionalizm* – tylko przytoczyłem jedną z wielu definicji regionu. Te dwa powyższe pojęcia nie są tożsame, chociaż w sensie etymologicznym słowo *regionalizm* pochodzi od słowa *region*. Tym bardziej nie są tożsame ani bliskoznaczne dwa o różnych znaczeniach pojęcia: *regionalizm* oraz *swojszczyzna*. Nie wiem, skąd w sposobie myślenia Autorki polemiki zrodziło się owo „masło maślane”. Czytelnicy „Co słyszeć?” to raczej ludzie inteligentni.

W Europie Zachodniej zachowana jest w większości krajów historyczna ciągłość regionów (prowincji), co nie w pełni odpowiada sytuacji, jaka na skutek zmian terytorialnych i administracyjnych ukształ-

towała się we współczesnej Polsce. Europejska Karta Samorządu Regionalnego, przyjęta na Kongresie Władz Lokalnych i Regionalnych w Strasburgu w 1997 roku stwierdza, że: *region, jako zasadniczy element państwa, świadczący o zróżnicowaniu Europy (...) przyczynia się do wzbogacenia jej kultury w nawiązaniu do miejscowych tradycji i zakorzenienia w historii oraz sprzyja ekonomicznej pomyślności z uwzględnieniem ekorozwaju*.

Regiony tworzą bazę dla *regionalizmów*, które rozumiane są jako:

- idea lub ideologia będąca wyrazem dążeń emancypacyjnych historycznie ukształtowanych ziem/regionów lub historycznie ukształtowanych odrębności etniczno-kulturowych,
- ruchy społeczne, społeczno-kulturowe, a także polityczne odzwierciedlające interesy mieszkańców danego odrębnego terytorium (ziemi, prowincji, regionu, państwa) w ramach koncepcji państwa unitarnego lub federacyjnego – zwykle integracyjne lecz czasem dążące do secesji bądź autonomii,
- kierunek w badaniach naukowych, związany z badaniami prowadzonymi na danym terytorium pod względem różnych kryteriów, w zależności od rozmaitych dyscyplin wiedzy (socjologia, etnologia, etnografia, muzykologia, geografia, historia, prawo administracyjne i gospodarcze, nauki o kulturze, językoznawstwo),

- kierunek w literaturze oraz w piśmiennictwie (literatura regionalna, prasa regionalna, lokalna),
- styl w architekturze i budownictwie, a także w malarstwie, zdobnictwie (rzeźba, stroje ludowe), nawiązujący do lokalnej lub regionalnej tradycji,
- synonim prowincjonalizmu – w pozytywnym sensie tego słowa (od biegunowego rozróżnienia: centrum – prowincja). W Europie słowo prowincjonalizm ma zabarwienie pozytywne; natomiast w Polsce wśród snobów od XIX wieku utrzymało się pejoratywne znaczenie słowa *prowincjonalizm* oraz negatywny obraz prowincji (porównaj *Podróż do Ciemnogrodu* Stanisława Kostki Potockiego).

Jan Gwalbert Pawlikowski apelował wyraźnie o uwzględnienie w *ruchu ochrony przyrody* pierwiastka uczuciowego, który występuje w regionalnym *ruchu ochrony swojszczyzny*.

Żaden ruch regionalny – jeśli nazwiemy go *regionalizmem*, nie jest *swojszczyzną* i żadna *ochrona swojszczyzny* też nie jest tożsama z istotą *swojszczyzny*.

To, co dominuje w regionalizmie, to procesy wspólnego dążenia do wspólnych celów we wspólnym interesie lokalnym i regionalnym, narodowym i państwowym, w zakresie rozwoju kultury lokalnej, regionalnej, narodowej i ogólnej. Karta regionalizmu polskiego uchwalona na V Kongresie Regionalnych Towarzystw Kultury w 1994 roku podkreśla: *Ruch regionalistyczny i samorządowy uaktywnia wszystkie środowiska i wyzwala społecznikowską inicjatywę. Twórcze siły intelektualne, kompetencje i zaangażowanie skupionych w nim ludzi przyczyniają się do budowy społeczeństwa obywatelskiego, zdolnego kreować nowe oblicze regionów i kraju.*

To, co dominuje w *swojszczyźnie*, to uczucia – owe względnie stałe cechy psychiki ludzkiej – odniesione do natury i kultury, w tym do konkretnego człowieka i innych ludzi w danej społeczności lokalnej. Wynikają z własnych potrzeb oraz potrzeb innych ludzi w społeczności tworzącej wspólnotę, z ich wrażeń, emocji i wyobraźni; znajdują wyraz w działaniach oraz w kulturze ludowej. *Swojszczyzna* to „matczyzna” duszy człowieka, to mała ojczyzna jego życia. *Swojszczyzna* to kwestia ludzkiej odczuwającej duszy i ludzkiego ducha; to kwestia wyczucia natury i kultury; to problem sumienia człowieka i zagadnienie solidarności sumień łączących ludzi w jakąś wspólnotę. Pierwiastek uczuciowy daje poczucie bliskości i przywiązania do ludzi, przyrody, tradycji i wytworów własnej kultury. Daje dyspozycje do działania i jest lekcją patriotyzmu. Cnota sprzyjania *swojszczyźnie* jest wyrazem dobrej woli człowieka, która rodzi się z uczucia umiłowania. *Swojszczyzna* JEST, istnieje i ciągle STAJE SIĘ na nowo. Jest rze-

czywistością człowieka, jego małym własnym światem, który jest mu najbliższy, który odczuwa, o którym myśli, za którym tęskni; jest prawdziwą rzeczywistością subiektywną i obiektywną. Jest środowiskiem, w którym rozpoczął się proces kształtowania własnej świadomości człowieka. W tym świecie człowiek czuje się wolny, a to daje mu prawo odróżniania dobra od zła i mówienia: TAK lub NIE, bo wolność swą umiłował. Wszystko co piękne jest przemija – wszystko co piękne jest zostaje. Społecznością pozbawioną poczucia *swojszczyzny* łatwo jest manipulować. Aby człowiek mógł odnaleźć się w świecie, w jakim przyszło mu żyć, musi przede wszystkim zlokalizować miejsce szczególnie ważne, najważniejsze, centralne – to z którym jest związany uczuciem. Miejsce, w którym zrodziła się dusza człowieka, z której wyrasta jego postawa duchowa – to miejsce, które w Polsce, w języku polskim – nazwano: SWOJSZCZYŻNA.

Szanowna Koleżanko Tatrzańska, przeczytaj Władysław Krygowski pisze wyraźnie i zrozumiale: *Regionalizm nie polega na odmianach stroju, rytmie muzyki i tańca* – co oznacza, że regionalizm to nie są elementy kultury ludowej. Te elementy kultury ludowej stanowią zewnętrzne formy – przejawy ukrytego wnętrza. *We wnętrzu tai się inne słońce, ziemia i woda, inny żywioł pracy i piękna, inne myślenie i odmienna krew* – to ukryte wnętrza to właśnie *swojszczyzna*. Władysław Krygowski swoje pisanie odnosi akurat do huculskiej krainy pod Czarnohorą lecz można to odnieść do mieszkańców każdej z obecnych polskich ziem górskich. Należy tylko zapoznać się z ich *swojszczyzną*, lecz aby się dogłębnie z nią zapoznać to należy jej sprzyjać. Aby było to bardziej zrozumiałe zacytuję większy fragment artykułu W. Krygowskiego pt.: *W zapachu gór i wojny*, opublikowanego w „Wiercach”, tom 15 z 1937 roku (wcześniej cytowałem z pamięci): *Zalana słońcem kotlina Żabiego wypełnia się rozrzuconymi osiedlami, z których każde to tajemniczy zamknięty na siedem zamków świat huculskiego żywota. Jakże szczęśliwie, że życie naszych wsi górskich tak jest różnorakie w barwach, kształtach, wierzeniach i śpiewie, obyczaju i uczuciu, że nie zdeptała jeszcze rodzimego piękna pospolita chęć równania. Regionalizm nie polega na odmianach stroju, rytmie muzyki i tańca. To są zewnętrzne formy ukrytego wnętrza. We wnętrzu tai się inne słońce, ziemia i woda, inny żywioł pracy i piękna, inne myślenie i odmienna krew. Każda ziemia przynosi co ma najbardziej własne, każda składa się nieświadomie na bogactwo i urodę życia jak kwiat nie wie sam kiedy złożyć się na łęką kwiecica.*

Czy Koleżanka odnalazła już owe siedem kluczy, na które zamknięta jest każda *swojszczyzna* polskich ziem górskich? Posiadało je przedwojenne Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Klucze te wyrzucili ko-

muniści, nie potrafili się nimi posługiwać. W czasie VIII Walnego Zjazdu Delegatów odrodzonego PTT już nie były potrzebne wyrzucono swojszczyznę, aby nie pamiętać i nie mieć uczuć umiłowania.

Inne słońce? Tak inne. Na Huculszczyźnie w wiarę chrześcijańską wplecione są elementy dawnych wierzeń, legend, przesądów i czynności magicznych. Obowiązuje odmienna, swoista dla danej społeczności hierarchia wartości i norm. Wśród Huculów wielu jeszcze modli się codziennie do Słońca, w czasie jego wschodu i zachodu. Do jedynie sprawiedliwego dla wszystkich Boga Słońca (*Boh Sonca, prawedne soneczko! Sława tobi Hospodi, soneczku naszemu prawetnost, szo nas ochriwaje (...) Dzakujemy Bohu Soneczku szo my przeżyli cały deń*). Inna woda? Tak inna. Woda w każdej rzece jest uświęcona w święto Jordana i służy ludziom w różnych potrzebach. Także inny ogień i inna krew. Krew jest płynem duchowym, spirytualnym, podtrzymującym życie i duszę, a dobre wino duszę udręczoną przez domową wiedźmę leczy. Jerzy M. Rytard w 1938 roku, w swojej powieści *Wierchowina* pisał: *Sto kilkadziesiąt lat temu na Wierchowinie huculskiej królowała „słoboda” (...) „Słoboda”! To wielkie słowo. Godni jej są ci, którzy w krwi swojej mają ukształtowane od tysiącleci formy prawdziwego człowieczeństwa. Godny jej jest lud wierchowiński, którego duszę zrodziło piękno wyżyn i łańcuchów górskich, któremu przygrywa muzyka wodospadów i szumiących potoków, a wiatry połonińskie śpiewają na swych fioletach.*

Koleżanka zapewne wie, że w Polsce po włączeniu się w strukturę Unii Europejskiej obowiązuje ustawa o swobodzie działalności gospodarczej – o swobodzie, czyli o wolności, a wolność jest ściśle związana z odpowiedzialnością, bo wolność to możliwość wyboru dobra lub zła w relacjach społecznych. *Swojszczyznę* widzi się oczyma duszy swojej.

Stanisław Wyspiański, syn Franciszka członka Towarzystwa Tatrzańskiego i Marii z Rogowskich, napisał *Wesele* – dramat, którego bohaterowie cierpią bo nie wierzą w siebie samych: *nie widzę, nie widzę dróg, zaćmił mi się Bóg (...)*, a tylko marzą o prawdzie, o autentycznym działaniu, o uczuciach, które by nie były grą. Akcja dzieje się wśród swoich. *Wesele* to hymn żałobny grany każdemu pokoleniu w Polsce, które nie potrafi podjąć problemów *swojszczyzny* danej ziemi i rozwiązać ich z korzyścią dla całego kraju, utraciło bowiem „złoty róg” Wernyhory. Społeczeństwo tańczy więc senny taniec biernych „wydrążonych” i wykorzenionych z narodowej tradycji ludzi, tak jak im własny Chochoł każe. Coś pragnie uczynić ale mu nie wychodzi. Gdy polską ziemię ogarnęła stalinowska noc wystawianie *Wesele* było zakazane, podobnie jak wcześniej w zaborze rosyjskim. ■

Powidoki Czarnohory

(cz. 2)

JANUSZ MACHULIK

Powidoki to pojęcie wprowadzone przez Władysława Strzemińskiego, malarza i teoretyka sztuki, twórcy unizmu. Oznacza obrazy utrwalone przez siatkówkę oka malarza i zachowane w pamięci. Chciałem przypomnieć na łamach „Co słyszc?” jak zapamiętali w swoim postrzeganiu i w myślach oraz opisali w swej twórczości swoje własne „powidoki” Czarnohory - tego pasma górskiego odwiecznie związanego z Huculszczyzną, krainą gór i rzek, lasów, połonin i płąjów - pisarze turyści, miłośnicy gór.

„Największą siłę magiczną posiada Czeremosz, który spośród wszystkich rzek górskich sam jeden płynie w cieniu stuletnich jodeł i świerków. Wody jego pienią się wartko w kamiennym łóżysku, szmerzą na żwirowych mieliznach, dzwonią po kamieniach, bełkocąc w cieśninach, huczą i dudnią w skałach, a każdemu z tych tonów, opóźniając się z lekka, wtóruje niskie, ciemne, basowe echo puszczy. Zdaje mi się, że gdybym ociemniały, stary, trawiony gorączką i obłędem, posłyszał znów ten szum, lata błędzenia po manowcach spadłyby ze mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą.”

Jerzy Stempowski: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*, Rzym 1946.

„Te góry tak gubią w sobie wszystkie małe ludzkie rzeczy i osoby. I nie przestrzeń, lecz postać i przestwór ich piękna jest pierwszym krokiem do wieczności.”

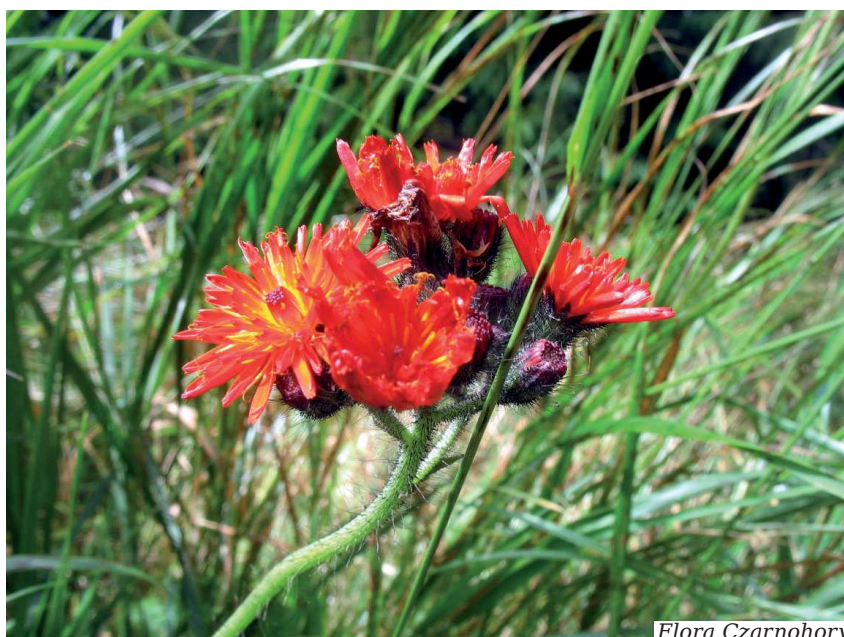
Stanisław Vincenz: *Outopos*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1992.

„Jak to się dzieje, że Palenica jest węzłem szczególnych a stałych związków pomiędzy podkładami góorskimi, wodami podziemnymi, a powietrzem wraz z jego prądami, wiatrami, chmurami? Czyż nie bije w Pępku ziemi ziemski puls, jeden z takich, które sprawiają, iż w niektórych miejscach ziemia widzialniej przyciąga niż w innych?

(...) można nieraz oglądać, o zachodzie słońca i przed nocą, jak pasma górskie



Drogowskaz pod Howerlą



Flora Czarnohory

i pasma chmurowe podobne zapamiętanym kochankom, wymieniają się swymi światłami i swymi ciemnościami (...). A przecież ani upał, ani spiekota nie depce nigdy ziem palenickich, nie pali suszą, nie dręczy dusznością, im więcej słońce gra, błękit gra, tym jaśniej drgają rosy, dźwięczą rosy, świergocą rosy, wszędzie jak puszcza daleka – szeroka. Wyłowione przez puls ziemi z chmur hojnie skrapiają każdą trawkę, liść, szpilkę i grzybek. Choć lekki wietrzyk przechadza się po rosach i strąca je, wciąż nową rosą rozkwita puszcza. Odradzające się wiecznie rosy, cała ich sieć nieograniczona, to niewyczerpane choć najcichsze źródła Czeremoszu (...).

Tylko czarność jest barwą matczyną, najczulszą ze wszystkich barw. Wzywa do zaufania dziecięcego, sama wyniesie na światło. Z niej zrodzi się zieleń lasów, z niej i zieleni błękit nieba. Czarne źródła Czarne Czeremoszu, ciemny

brzech poczynają w jednym powijaku zieleni, a w drugim błękitu. Z łona Palenicy, z Popadii, z wszystkich ciemnych łon tyśiące ssawek ssie wodę dla Morza Czarnego. Bo pod Czarnohorą, pod czarnolasem i w pępku ziemi bije starsze czarne morze, morze w czasie. Tchnienia i głosy ciemności, naziemne i podziemne, tysiączne strugi, chlupawki, poniki. Wzdychanie spod skał, szlochanie moczarów, gwarliwy bulgot na płytach wygładzonych, szeptany szczebiot ros. Oczy niepotrzebne, tylko słuchać. Źródła Czeremoszu – z nich wieje wciąż dzieciństwo leśne. Kosodrzewy czarno-zielonej nadziei, nie w czasie zakorzenione, lecz na korzonkach świętego łęku. Trwa i przetrwa świat (...). Dostęp do wód podziemnych zakryty jest lasem, zawalony wiatrołomami, zaszyty gęstymi zaroślami, zalepiony pokładami zmurszałych mchów. Tylko w nielicznych miejscach ten i ów potok od razu wypływa sporą strugą z paszczy skalnej, jak

ze spuszczonej nad samą wodą bramy, za którą jest coś. Ale co?”

Stanisław Vincenz: *Na wysokiej połoninie. Nowe czasy*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1981.

„Na wysokim łęku połoniny, na tle nieba ukazały się postacie prześwielone. Ze schodów niebieskich wśród obłoczków zstępowały. Dobrotliwe matki – starowinki i słodkie oblubienice niebieskie – anioły. Ciche granie słało się z góry rosą złotych kropelek. Zbliżały się ku lasom, ku siołom, ku chatom. Błogosławieństwo niosły, niebieskie pozdrowienie, pokój sercom – szczęście.”

Stanisław Vincenz: *Na wysokiej połoninie. Barwinkowy wianek*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1983.

„Tam, gdzie wypiętrzył się łańcuch Czarnohory, snadź, niegdyś jakieś morze nieznanne, pradawne cisnęło burzliwe bałwany, a te, dobiegłszy tu, stanęły w bezruchu, stężałe nagle, w kamień twardy zamienione, aby nie rozprysnąć się już nigdy... O tem to zapewne morzu – szerokim, niebieskim i głębokim wspominają watahowie na połoninach, przed wschodem słońca ogarniając spojrzeniem zastygłe jego fale – od Howerli i Pietrosa aż hen, – po Popa Iwana... Szczyty gór nie grożą tu niebiosom ostrzami wierchów poszarpanych. Gdzie – niegdzie tylko nad kotłami, głębią dolin i czernią zworów wąskich, zwisają urwiste spychy skalne, których się czepiają jarzębiny, dereń i jeżyny, zrzadka – limba smukła, a już bliżej samej grani – jałowiec i... różanecznik – zwiastun wyżyny. Puszcza zdobyła wszystkie zbocza i wysłała ku łożyskom rzek, szumiących w nizinie, buki, leszczynę, olchę i wierzby rozrosłe... W kniei, po wydeptanych przez siebie perciach, sapiąc tuła się niedźwiedź, szukając mrowisk, nór krecich, jagód i dziupli, gdzie osiadł rój pszczeli, aż go głód rozzuchwali do reszty, zmuszając przedrzeć się na połoniny i spróbować szczęścia w rabunku, chociaż czujnie strzegą stad psy kosmate, a juhasi ostre mają oczy i najlżejszy nawet ślad kniaźcia borów wypatrzyć zdołają. (...) Nad Jasiną poczęła się Czarnohora – i wznosząc się coraz wyższym wałem, urasta w szczyt Howerli, z której zboczy biją pierwsze strugi Prutu i nie wiedzą nic o swych siostrzycach, co wytryskują z zachodnich zboczy, Cisę Białą zasilając. Na sfalowanej grani grzbietu podnoszą swe stożkowate, kopulaste lub płaskie i zrzadka tylko zaostrome głowice Howerla, Breskuł, Pożyżewska, Dancysz, Turkuł, Rebra, Tomnatyk, Brebenieskuł, Munczel i Pop Iwan – ostatnia baszta twierdzy Czarnohorskiej – i inne jeszcze – niższe, skromniejsze. Stromo spadają ku dolinom południowe ich spychy, od północy zaś stoki łamią się w potężnych stopniach olbrzymich schodów. To boczne uskoki, bądź łagodne, bądź też opadają-

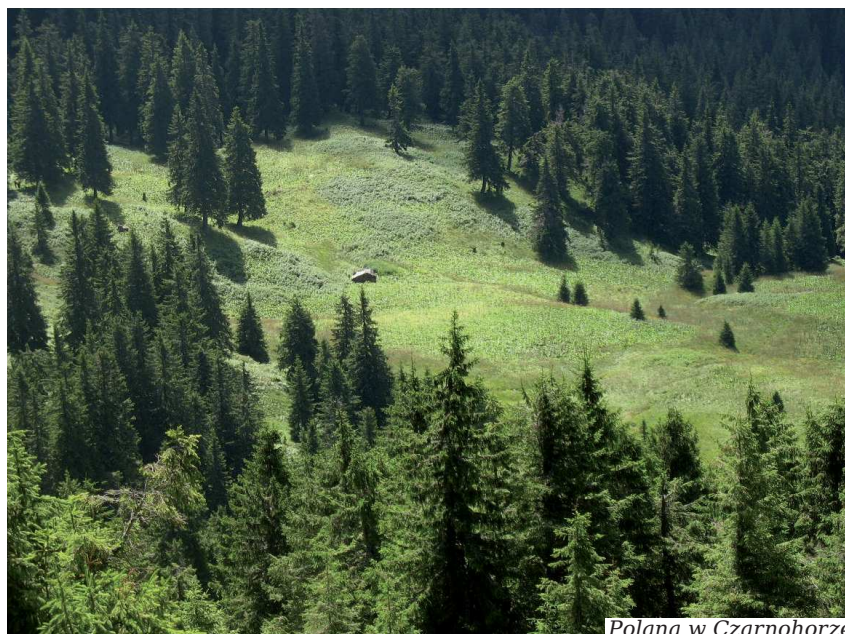
ce stromą zerwą, tworzą „plecy”, co nadaje niektórym górom groźny nieraz, a zawsze malowniczy wygląd niedostępnego urwiska, najeżonego skałami. Kotły i niecki, wytoczone przez lodowiec i rozmyte jego wodami, gdy szybko topnieć zaczął, zwaliska moren i z rzadka drobne jeziora widnieją wśród fal skamieniałych. Ostatnie żywe wspomnienia o lodowym pancerzu, pod którym, zda się, ugięły się te góry, jak pod nieznośnym brzemieniem, gdy to ruchoma skorupa jego raniła głęboko ich piersi i boki. Teraz, choć okryte lasem, świadczą jednak o zaciętej walce skał z sunącą po nich lodową nawałą. Zaiste ciężkie to było brzemie, tak ciężkie, że z ciał gór, niby krew żywa, trysnęły zimne strugi wody. Białe, pienne nici jej ni to srebrzysta pajęczyna snują się po zielonych i szarych zboczach szczytów i opadają w głębokie kotły, a z nich – do rozłóg, co zbiegają ku łożyskom rzek. Pod Dancyszem, niby potworne grzebień, wyrosły Wielkie i Małe Kozły w szczelinach całe,

wyrwach i rumowiskach, strzelające wysoko ponad zielone płaskowiny i zwoje czarno-zielonego płaszcza świerkowych borów. Przez ich ciemne gąszcz wiodą pąje, wydeptane przez bydło, wiją się przez niższe łąki i znowu znikają w puszczy, aż urwą się gdzieś w złomiskach, zaroślach kosówki i traw wysokich. Przez bory biegną ścieżki, różnemi znakowane barwami na szarych pionach drzew i odłamkach skalnych. To szlaki turystyczne, wytknięte przez zasłużone dla kraju Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.”

Ferdynand A. Ossendowski, *Huculszczyzna*, Wydawnictwo Polskie, Poznań 1936.

„Gdy ogarnie was smutek, gdy zwątpienie dojdzie do serc waszych, gdy powietrze stanie się wam w dolinie zbyt duszne – idźcie wtedy na „wysoką połoninę” (...). Tu poczujecie się bliżej wszechświata i Pana jego.”

„Wieści Polskie” nr 44-45, Budapeszt 1941. ■



Polana w Czarnohorze



Widok z Howerli na południe

Fot. Szymon Baron

Fot. Szymon Baron

Huculski harnaś z połonin Czarnohory

BARTŁOMIEJ GRZEGORZ SALA

Zwykle zwycięzców nikt nie osądza. Przeciwnie – od kilkudziesięciu lat to oni osądzają pokonanych tak, jakby z militarnej przewagi miało wynikać ich administracyjno-sądownicze zwierzchnictwo. Widok stalinowskich katów sądzących w procesie norymberskim swoich hitlerowskich kolegów (nie lepiej byłoby owe kreatury po prostu pozabijać, zamiast bawić się w tę parodię sprawiedliwości?) m.in. za zbrodnię katyńską (!!!) jest tu wielce wymowny...

Wiele osób jeszcze pamięta, jak przez nieomal półwiecze komunistyczna propaganda epatowała idiotycznym pojęciem „niemieckiego faszyzmu”. Sam Benito Mussolini jako ojciec zdecydowanego protestu Włoch przeciw *Sonderaktion Krakau* i autor słów o tym, że antysemityzm mógł powstać tylko w „ciemnych mózgach ludzi Północy” (haniebne włoskie ustawy skierowane przeciwko Żydom były przecież wymuszoną ceną za sojusz z Niemcami) pewnie by się obraził, ale rzecz w tym, że chodziło o to, ażeby republikański, antysemicki, antykatolicki (potępiony zresztą przez Watykan już w 1937 r. celowo zapomnianą encykliką w języku niemieckim!) i oparty na socjalnych ciągłach narodowy socjalizm o tonącej w czerwieni fładze przestano powszechnie kojarzyć z radykalną lewicą i ażeby wepchnąć go jak dziecko w brzuch środowiskom konserwatywnym i antykomunistycznym („siłom reakcji”), takim jak inni „faszyści” z Narodowych Sił Zbrojnych, Armii Krajowej i przedwojennej administracji. To jeden z najbardziej beczelnych przykładów na to, że zwycięzcy zwykle nie tylko osądzają, ale i piszą historię...

Ale nie każdy triumfator ma tyle szczęścia. Bywają i zwycięstwa o bardzo gorzkim smaku. Mógł na ten temat wiele powiedzieć słynny król Epiru Pyrrus, który swoje błyskotliwe wiktorie nad Rzymianami okupić musiał ponoć olbrzymimi stratami. *Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a będziemy straceni* – miał zachnąć się po batalii na polach Auskulum.

Pyrrusowym było niewątpliwie polskie zwycięstwo nad Niemcami z 1945 roku. Biało-czerwona flaga powiewająca dumnie nad Berlinem oraz wydarcie Rzeszy dawnych posiadłości Piastów śląskich i zachodniopomorskich Gryfitów, Gdańska, ziemi lubuskiej i południowych Prus były godnym rewanżem za wrześniową klęskę i lata okupacji. Tyle, że bilans zwycięskiej wojny był dla Rzeczypospolitej katastrofalny. Nie chodzi nawet o utratę pełnej suwe-

renności – II wojna światowa zakończyła przecież w wymiarze ogólnoeuropejskim epokę niepodległych państw narodowych, a rozpoczęła erę wielkich bloków i unii, notabene tyleż centralistycznych, co ekspansywnych. Zresztą, polska niesuwerenność została przesądzona już jesienią 1939 r., gdy decyzją sojuszników (może jednak „sojuszników”?) reprezentujące niepodległościowe stanowisko polskie władze sanacyjne zostały internowane w Rumunii i zmuszone do przekazania władzy francuskim nominatom. Silnie zależny od meandrów polityki francuskiej, a później brytyjskiej, rząd emigracyjny protestując przeciw osadzeniu na radzieckich bagnach Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego dał tylko – wobec okoliczności własnego dojścia do władzy i wskazania przez siebie drogi, jak to czynić z pomocą obcych sił – wyraz modelowej wręcz hipokryzji...

Pomijając już niebywałe zniszczenia wojenne, Polska poniosła olbrzymie straty ludnościowe. Każde życie warte jest tyle samo, ale nie sposób nie zauważyć, że najboleśniejsza okazała się całkowita utrata elity intelektualnej, solidarnie eks-terminowanej przez Niemców i Sowietów. To właśnie brak elity z jej ciągłością i etosem oraz zastąpienie jej pseudointelektualistami z awansu sprawiły, że możliwe było okrzepnięcie systemu politycznego i ideologii Polski Ludowej i Trzeciej Rzeczypospolitej, że nasz kraj wygląda dziś tak, jak wygląda...

Ale sytuacja, w której państwo wychodzi ze zwycięskiej dla siebie wojny po mniejszone terytorialnie jest już sytuacją megadziwaczną. Pomniejszone – bagatel! – o 77 970 km², czyli jakieś 20% terytorium... Pikanterii owej sytuacji dodawał fakt, że zachodnie mocarstwa gwarantowały w 1939 r. jego granice... A na dodatek, straty te spotkały kraj, który szedł na wojnę w obronie znacznie mniejszych obszarów „korytarza pomorskiego”... i tę wojnę wygrał!

Ceną za posiadanie starówek Wrocławia, Gdańska i Kołobrzegu, Wielkich Jezior Mazurskich, warowni Śląska, pięknych sudeckich zakątków i rozległych nadbałtyckich plaż była utrata całej wschodniej połowy państwa polskiego, nawet gdyby pominąć już odzyskane ledwie w 1938 r. Zaolzie oraz Jaworzynę Spiską. Ceną były urokliwe zaułki Wilna, Nowogródka, Lwowa, Stanisławowa i Tarnopola, jeziora Wileńszczyzny, uroczyska Wyżyny Białoruskiej, egzotyczne moczary Polesia, usiane dworka-

mi Wołyni i Podole oraz śnieżne szczyty Karpat Wschodnich.

Karpaty Wschodnie... Dziś już mało kto pamięta jak wielką rolę odgrywały ongiś wyniosłe wierchy wschodnich Bieszczadów, Gorganów, Czarnohory, Karpat Marmaroskich, Gór Hryniawskich i Beskidu Pokuckiego na turystycznej i kulturalnej mapie Polski. Tratwy na bystrym Czeremoszu nie ustępowały przecież sławą trasie przełomem Dunajca przez Pieniny, a wschodniokarpackie kłauzy – sztuczne, bo sztuczne – tatrzańskim *stawom*. Wschodnie Bieszczady kusiły narciarskim Sławskiem i rywalizującym z Krynicią uzdrowiskiem w Truskawcu Zdroju, a usłane olbrzymimi głazowiskami oraz ozdobione wielkimi wodospadami w Maniawie i Buchtowcu gorgańskie królestwo potężnej Sywuli (1836 m) dawało smak prawdziwej traperskiej przygody pośród dzikich i nieprzystajnych cudów natury. Krzyż na Przełęczy Legionów upamiętniał z kolei heroiczny szlak przez górskie pustkowia II Brygady, nienadarmo nazywanej „Karpacką” i „Żelazną”.

Ale za największą atrakcję Karpat Wschodnich uchodził wyniosły walec Czarnohory, podcięty polodowcowymi kotłami. Osiągając na Howerli 2058 m, ustępował w Polsce wysokością tylko Tatrom. i chyba tylko im ustępował w sławie i popularności, skutecznie rywalizując z Babią Górą, uroczymi Pieninami oraz znanymi uzdrowiskami Beskidu Sądeckiego i Beskidu Śląskiego.

Potężne górskie wierzchołki, alpejskie krajobrazy, kłauzy, wodospady oraz znane letniska w Delatynie, Dorze, Jaremczu, Jamnie, Mikuliczynie, Worochcie i Żabiu nie były wszakże wszystkim, czym kusiła Czarnohora. Piękna karpackich impresji dopełniał tu wspaniały folklor Huculów. Ten najbarwniejszy spośród ruskich (z silnymi elementami południowoeuropejskimi) szczepów górskich zamieszkiwał rozległe tereny od wschodnich Gorganów aż po rumuńską Bukowinę, ale właśnie czarnohorskie Żabie uchodziło za „huculską stolicę”. Spośród wszystkich grup etnograficznych to właśnie Huculi – obok Górali Podhalańskich – zrobili największą karierę w kulturze polskiej. Świetnie przystosowany do górskich warunków, dumny mieszkaniec Czarnohory, oddający się pod doświadczonego okiem kapłana pradawnych obrzędów – sędziwego *watahy* pasterskiemu gospodarowaniu na wysokogórskich szalasach, przemierzający na rącznych konikach huculskich najniebezpieczniejsze karpackie ostępy, przeprowadzający podróżników przez najgorsze bezdroża i spławiający drewno po rozgniewanych falach Prutu i Czeremoszu idealnie spełniał ideał dzikiego „człowieka gór”, budził podziw i fascynował, zdumiewał

fantazją i... niebawem nawet na kulturę chłopską seksualną rozwiązłością. Reszty dopełniały barwne stroje, wykwiłtne rękodzieło (w tym niezwykle ozdobne wielkanocne *pesanki*) i skoczna muzyka pasterzy z połonin, ujmujących każdego żwawymi kołomyjkami i wspianiałym tańcem *arkan* – swoistym odpowiednikiem *zbojnickiego*. Kapitalne połączenie unikalnych pejzaży z unikalną kulturą góralską powodowało, że Tatry i Podhale z Pieninami oraz rejon Czarnohory i Huculszczyzna nie miały w Polsce równych sobie.

Fascynacja wschodnimi Karpatami zawodziła też przedostaniem się tradycji rodem z połonin do kultury „wysockiej” i powstania swoistego, huculskiego odpowiednika twórczości „tatrzańskiej”. Apogeum zjawisko to osiągnęło na kartach wielkiej wschodniokarpaczej epopei Stanisława Vincenza *Na wysokiej połoninie* oraz w dziełach innego piewcy magicznych czarnohorskich zakątków – Józefa Bieniasza, autora tryptyku złożonego z części *w puszczy nad Salatrukiem*, *Duch Czarnohory* i *Turul, król karpaczej puszczy*, a także w dramacie *Karpaccy górale* Józefa Korzeniowskiego. Któż zresztą nie zna popularnej pieśni opartej na pięknej arii starego Michała Tychończuka?

*Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyszczy z dala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!*

*Tam szum Prutu, Czeremoszu, Hucułom przygrywa,
A wesoła kołomyjka do tańca porywa.
Dla Hucuła nie ma życia jak na połoninie!
Gdy go losy w doły rzucą – wnet z tęsknoty zginie!*

[...]



Fot. Szymon Baron

„Dzembronia”

* W oryginale rzeczona aria z *Karpaccich górali* rozpoczynała się następująco:

*Czerwony płaszcz, za pasem broń
I topór, co błyszczy z dala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!*

Zresztą, w huculskim stroju nigdy nie używano żadnego czerwonego pasa!

Mało kto pamięta za to, że w przedwojennym Wojsku Polskim istniał „regionalny” pułk huculski podpułkownika Karola Hodały, o quasiludowym umundowaniu – niemal dokładny odpowiednik podhalańczyków generała Andrzeja Gality, co daje wyobrażenie o sile oddziaływania dwóch najsłynniejszych nurtów karpaczej góralszczyzny, o ważnym miejscu regionalizmu spod Giewontu i Howerli na firmamencie polskiej tradycji. W czasie kampanii wrześniowej huculscy żołnierze dali zresztą pokaz typowo góralskiej brawury, gdy w pobliżu Sądowej Wiszni wspólnie z 53 pułkiem strzelców dosłownie roznieśli na bagnietach (!!!) doborowy oddział zmotoryzowany SS-Standarte Germania, który po prostu przestał istnieć...

Barwny folklor Hucułów na trwałe zagrościł nie tylko w polskiej literaturze, ale i z typową dla siebie zwawością przemycił przez obrazy Teodora Axentowicza, Juliusza Kossaka i Leona Wyczółkowskiego, autora całej *Teki Huculskiej*. A ponieważ stylizacje rodem z Huculszczyzny pojawiają się w detalach secesyjnej architektury Lwowa, wolno zastanawiać się, czy osławiony styl zakopiański nie miał czasem w swych aspiracjach do roli polskiego stylu „narodowego” realnej konkurencji...

Ażeby analogia z Podtatrzem i w ogóle zachodnią Góralszczyzną była pełna, należy koniecznie wspomnieć o zbojnikach,

wielbionych z równym upodobaniem w całych Karpatach. Zachodniokarpaccy *harnasie* i wschodniokarpaccy *beskidnicy* rozpalali wyobraźnię górali od Śląska po Kresy. Z morderców, gwałcicieli, rabusiów i rzeźmieszków ludowa legenda i pieśń uczyniła szlachetnych obrońców góralskiej wolności i *ślebody*, mścicieli krzywd, chłopskich hetmanów, górskich herosów, półbogów o wielkiej sile i magicznej mocy, którzy „świat równają”. *Hyr* o ich ponadludzkich wyczynach odzywał w barwnych opowieściach i prawdziwych nutach, z lubością rozchodzących się po halach Beskidów Zachodnich, Gorców, Tatr i Pienin oraz połoninach Beskidów Wschodnich, Bieszczadów, Gorganów, Czarnohory, Karpat Marmaroskich i Gór Hryniawskich. Stamtąd trafiali na karty powieści i romansów, by tą drogą zdobyć sobie miejsce w ogólnonarodowych panteonach Polaków, Słowaków i Ukraińców.

Zanim jeszcze – wskutek dziewiętnastowiecznego „odkrycia” Tatr i Podtatrza – każde polskie serce pokochało Janosika, głównym bohaterem naszych zbojnickich legend był huculski harnaś – Oleksy Dobosz, wielbiony przez niezliczone wschodniokarpaccie gawędy i piosnki.

Oleksy vel Ołeks (czyli Aleksy) Dobosz, zwany też Doboszczukiem, przyszedł na świat w Peczeniżynie, u wrót Czarnohory. Urodzony w nędzy, najmował się do różnych posług. Według legendy wypasał na połoninach u watahy Żołuba, którego zabił w czasie kłótni. Rozdawszy stada pierwszej ofiary okolicznym chłopom, wyruszył w głąb niedostępnej Czarnohory, aby z bratem Iwanem i zebraną kompanią prowadzić tam dziki żywot beskidnika.

Dobosz uprawiał swój proceder od co najmniej 1738 r. Do karpaczej tradycji przeszedł jego napad na Oślaw Czarny, gdzie jeden z mieszkańców wydać miał... ucztę na cześć napastników.

cd. w następnym numerze ■



Fot. Szymon Baron

Szczyt Howerli

„Święto Gór na Nizinach” na wzór XIX-wiecznych wypraw Chałubińskiego

KAROLINA SMYK

„Nikt podobno nie odgadł dotąd, w czym spoczywa owa czarodziejska gór władza; jest to zapewne jedna z tajemnic natury, której jednak zaprzeczyć nie można, bo doświadczenie wszelkim rozumowaniom oprzeć się potrafi” – pisała w połowie XIX w. Maria Steczkowska. 150 lat później, 15 października, który był pięknym, słonecznym dniem, ja – stęskniona za Tatrami poznanianka – trafiłam po raz pierwszy na spotkanie Poznańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, celebrującego swoje 90-lecie oraz Święto Gór na Nizinach rajdem na Dziewiczą Górę – drugi najwyższy szczyt w okolicach Poznania (143 m n.p.m.). Święto Gór na Nizinach miało swoją premierę w 2002 r. – Międzynarodowym Roku Gór – i od tego czasu jest to stały punkt programu w kalendarzu wydarzeń Oddziału PTT w Poznaniu. Czego się spodziewałam? Marzyło mi się spotkać ludzi, którzy, podobnie jak ja, ulegli „niepojętemu wpływowi gór”, dla których Tatry są drugim domem, do którego wraca się z radością, o którym z pasją się rozmawia i o który z troską się dba. Tymczasem, zdarzyło się coś więcej, miałam to szczęście odbyć wycieczkę w starym stylu, z ludźmi jakby żywcem wyciągniętymi z opowieści Walerego Eljasza: „wytrwałymi, wesołymi i bez wygórowanych żądań”. Trafiłam pod dobry adres, tu podtrzymuje się tradycje górskich wycieczek dra Chałubińskiego, dawnego po Tatrach chadzania. Przygoda rozpoczęła się sympatycznym powitaniem przez prezesa Leszka Lesiczkę, którego wyrazista osobowość przypominała mi naczelną zasadę obowiązującą już w czasach Eljasza: „słuchać przewodnika, który jest odpowiedzialnym za wszystko”, po czym zapozowaliśmy do pamiątkowej fotografii, no i ruszyliśmy. „Każda szanująca się wycieczka szła w wolnym tempie, bo pośpiech złe skutki pociąga, zrywa siły od razu, że tam ich braknie, gdzie ich najbardziej potrzeba” – przypominała się literatura. Tak jak niegdyś, gdy nieodłącznym elementem wypraw była orkiestra góralska, tak i tu – na wzór sabałowych gęśli z wycieczek Chałubińskiego – podczas całej drogi, na postojach i jeszcze długo po wycieczce przygrywali Bogdan Marcinkowski na mandolinie i Jarogniew Mikołajczak na gitarze. „Hej te nase góry!” i „Góralu, czy ci nie żal!” – będę od tej pory znać w całości na pamięć. Opowieść naszego przewodni-

ka o Dziewiczej Górze i atrakcjach biegnącej wokół wierzchołka ścieżki przyrodniczo-leśnej snuta w wyjątkowej oprawie: przy tzw. wigwamie, w otoczeniu wiekowego drzewostanu, przy akompaniamentie muzycznym i ciepłej herbacie z termosu – miała swój klimat. Przerwał go dopiero okrzyk „żurek”, który był hasłem powrotu do miejsca, skąd rozpoczęliśmy wędrówkę. Czekały na nas pyszności i muszę przyznać, że nawet apetyt przypominał ten ze starych przekazów, co to: „dopisywał szczególnie podczas wycieczek niewymagających dużego wysiłku fizycznego”. Posileni rozeszliśmy się obejrzeć wystawy. Część z nas oglądała Tatry Słowackie widziane oczami Michała Raczynskie-

dry budowy poznańskiej stacji polarnej na Spitzbergenie, zachęcając do zainteresowania się północnymi krańcami ziemi. W wielobarwnej paletce przeżyć tego dnia nie brakło także stricte artystycznego akcentu. Już Walery Eljasz pisał: „W kim tkwi chociaż iskra poezji, ten na widok gór uczuwa do nich pociąg nieokreślony” – punktem programu łączącym słowo z muzyką i górami był występ duetu Jarogniew Mikołajczak – kontrabas, Magdalena Pocgaj – poezja. Wspólne odśpiewanie pieśni zamknęło ów magiczny, pierwszy dla mnie spędzony w tym gronie dzień. Wracałam do domu z myślą, że ci ludzie i spotkania z nimi dadzą mi tutaj – na nizinach to, co dają mi góry. Krygowski nazwał to: „umiejętnością ode-



Cel wycieczki, tzw. wigwam w masywie dziewiczej góry

go, część rozszyfrowywała symboliczne zdjęcia Antoniego Ruta, ujęte w ramy wystawy „Między niebem a ziemią”, inni zapoznali się z artystycznymi kompozycjami Lecha Lesiczki. Mogliśmy także obejrzeć wystawę tematyczną o Janie Pawle II – honorowym członku PTT. Prezes przypominał zasługi Ryszarda Wiktora Schramma dla PTT, którego postać wystawą „Nie lubię chodzić po cudzych śladach...” przybliżyła we wrześniu bieżącego roku Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu. Pamiątką tego dnia będzie list Prezydenta Miasta Poznania Ryszarda Grobelnego i tablica ufundowana przez Marka Woźniaka – Marszałka Województwa Wielkopolskiego z okazji Święta Gór na Nizinach i 90-lecia poznańskiego Oddziału PTT. Po rozdaniu dyplomów i upominków członkom PTT mistrz ceremonii oddał głos Grzegorzowi Rachlewiczowi, który – przy pomocy prezentacji „Polarne lato 2011” – przybliżył nam mean-

owania się od świata widzialnego, aby wrócić do rzeczywistości lepszym, mądrzejszym, bardziej człowieczym, bardziej dla wspólnego dobra pożytecznym. Bo już nie jest tym samym człowiekiem, kto dotarł do szczytu i wraca potem w dolinę”.

Bibliografia:

- Chałubiński T., *Sześć dni w Tatrach*, Kraków 1988.
Eljasz-Radzikowski S., *Pogląd na Tatry*, wyd. 3, Kraków 1900.
Eljasz-Radzikowski W., *Ilustrowany przewodnik do Tatr i Pienin*, wyd. 3, Kraków 1886.
Eljasz-Radzikowski W., *Szkice z podróży w Tatry*, Poznań 1874.
Krygowski W., *Wspinaczka po tęczę*, Kraków 1986.
Pisera K., *Jak dawniej po Tatrach chadzano*, Zakopane 2008.
Steczowska M., *Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin*, Kraków 1958. ■

WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
REDAKCJA: SZYMON BARON, MARCIN KOLONKO, BARBARA MORAWSKA-NOWAK
SKŁAD: JUSTYNA RYBKA

ADRES REDAKCJI: UL. KONARSKIEGO 21/5, 30-049 KRAKÓW ◆ E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL ◆ TEL.: 12 634-05-89
WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: [HTTP://WWW.PTT.ORG.PL](http://www.ptt.org.pl)